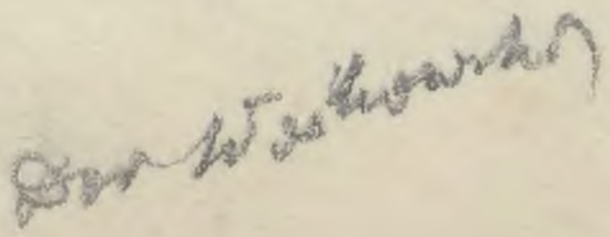
HIERONIM ZALESKI

SYN CIEŚLI

DRAMAT W TRZECH AKTACH

LWÓW 1911
NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA MANISZEWSKIEGO
WARSZAWA — E. WENDE i Ska (T. HIŻ i A. TURKUŁ)



SYN CIEŚLI

SYN CIEŚLI

DRAMAT W TRZECH AKTACH

NAPISAŁ

HIERONIM ZALESKI

LWÓW 1911
NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA MANISZEWSKIEGO
WARSZAWA: E. WENDE I SPÓŁKA

Z DRUKARNI SŁOWA POLSKIEGO WE LWOWIE
pod zarządem Józefa Ziembińskiego

OSOBY:

EZECHEL
JONATAN, jego syn
RUBIN, ich krewny
ARON, sługa Ezechela
RACHELA, uboga wdowa
MAGDALENA, jej córka
SYN CIEŚLI
VALERIUS GRATUS, namiestnik rzymskiego Cezara
PILATUS PONTUS, jego następca
KAIFASZ
ANNANASZ
MAREK, LIVIUS } setnicy rzymscy
ARISTES, rzeźbiarz
JOEL, jego przyjaciel
DAWID
FLORA
MŁODZIENIEC
GEMEILECH
CELNIK, urzędnik rzymski
SZYMON
FARYZEUSZ I.
FARYZEUSZ II.
FARYZEUSZ III.

Niewolnicy, niewolnice, bachantki, lud, żołnierze rzymscy, kat i t. d.

Rzecz dzieje się w Jerozolimie i w Nazarecie w 33 roku nowej ery.

AKT I.

ODSŁONA PIERWSZA.

Scena przedstawia ogród, po lewej kilka cyprysów, w głębi z poza nich widać część domu, ściany białe, dach płaski. Naprzeciw widzów otwarte okno, przez które przeziera mdłe światło migocącej lampy. Po prawej taras obsadzony krzewami, za tarasem widać szeroką płaszczyznę i na niej migotliwą wstęgę Jordanu; po przeciwnej stronie gubią się w cieniu kontury dużych budowli, nad któremi dominuje szczyt góry Oliwnej. Noc — niebo barwy ciemnego szafiru, wiele gwiazd i księżyc ze zenitu oświetla krajobraz. Przy podniesieniu kurtyny Magdalena w białej powłóczystej szacie stoi przy kamiennej ławie, na której zapatrzony w kochankę siedzi Jonatan w narzuconym na ramiona czarnym płaszczu.

SCENA I. — MAGDALENA i JONATAN.

JONATAN.

Kiedy spoglądam w twoich ócz błękity —
Zda się, że żyję życiem nie tej ziemi,
Ale innego i lepszego świata!
Duch mój ulata, jakby w niebowzięty
Na górne szczyty — tam, gdzie gwiazd tysiące
Splata się w jeden świetlany dyadem!
Ja oderwany od życia szarzyzny
Twoim anielskim kochanko widokiem,
Płynę za słońca i aniołów śladem!
O Magdaleno, bo tyś niebem mojem

Tyś rozjaśnionym duszy mojej wzrokiem,
Moją świętością i mojem istnieniem,
Słodyczą moją i szczęściem i życiem
I wszystkiem mojem!

MAGDALENA.

Ach mój Jonatanie!
Ta miłość nasza, ten naszych serc związek
Ileż nam cierpień przynosi w udziele!
Jam jest uboga i z nędznego rodu,
Któremu tylko chleb twardy i łkanie
Stało się całem życia przeznaczeniem;
A jeśli szczęście albo szczęścia złuda
W to życie jeden złoty promyk rzuci
I duszę blaskiem ułudnym omami —
To taką chwilę przeżytą złudzeniem,
Trzeba z pamięci własnemi zmyć łzami
I żalem po tem, co nigdy nie wróci!

JONATAN.

O cicho... cicho Magdaleno moja —
I dla nas przecie dzień szczęścia zaświta!

MAGDALENA.

Nie sądzę luby — pochodzeń różnica
Nierozplątaną stanowi zawiłość!
Jam bez przeszłości — bez prawa do szczęścia,
Cóż mam za sobą? — samą tylko miłość,
Którą ukrywam przed ludźmi i światem —
I kryć już muszę nawet wobec matki!
A ty mój drogi — ty jesteś Lewita,
Latorośl rodu, który w długim poczcie
Przeszłych pokoleń przodował w narodzie!

Ty masz bogactwa, skarby i dostatki,
Których ci słudzy przez rok nie przeliczą,
A ja chleb przaśny z tych zbieranych kłosów,
Jakie po sierpach zostają żniwiarzy!
Ty nosisz w duszy godność wielkich przodków,
Która i ciebie teraz opromienia. —
Wszakże w dziejowej narodu kolei
Ród twój wydawał i sędziów i królów,
Arcykapłani byli z pokolenia,
Które krwią swoją w twoich żyłach tentni!
A ja mam w duszy pamięć niewolniczą,
Związaną z moich biednych ojców rodem,
Co żyli smętni i pomarli smętni. —
Pamięć przeżytych przez nich łez i bólów!
I dziwne — chociaż znam głębię przepaści,
Jaka na ziemi dzieli nas oboje,
Choć tyś potomek monarchów Judei —
Jam ci oddała całe serce moje,
Które już tylko dla ciebie uderza!
I kocham ciebie i kochać cię będę
Jak szczęście własne moje wymarzone —
Z całej mej duszy tobie poświęconej
Aż do tej chwili, gdy przyjdzie kres cierpień,
Gdy na me oczy czarne padną cienie
I mnie pokryje wiecznych snów milczenie!

JONATAN (*ujmując ją za rękę*).

Usiądź tu przy mnie gołębico biała
I nie mąć żalem krótkich chwil spokoju
Życiu wydartych. Dość cierpień tęsknoty
Będziemy mieli, gdy z pierwszym dnia brzaskiem
Rumiana zorza szczyt oliwnej góry
Przystroi barwą złota i purpury!

MAGDALENA.

Matka mi wczoraj wyrzec się kazała
Myśli o tobie! Lecz jakże to zrobić —
Chybaby pamięć zgasić razem z życiem,
Chybaby sercu kazać, by nie biło!

JONATAN.

Nie Magdaleno! wszak człowiek miłości
Własną swą wolą w swem sercu nie wznieca,
Lecz sam Jehowa wszczepia w ludzkie dusze
Taką uczucia potęgę mocarną,
Że ona kruszy, łamie i obala
Przesądy świata!
(p. k. m.) Wszakżem ja jedynak,
Prócz mnie nikogo ojciec mój już nie ma,
Prośba go moja wzruszy i przekona —
Wszak to mój rodzic — wszak i on ma serce,
I miłość dla mnie żyje w jego łonie!
Nie zechce przecie, abym jego wolę
Opłacił szczęściem wszystkich dni żywota;
Nie zechce zdeptać uczuć swego syna
Ani rozpaczy wtłoczyć w pierś synowi —
Wydrzeć miłości, co jak gwiazda złota
Życia treść całą i wartość stanowi!
(p. k. m.)
O tak najmilsza — ojciec niezawodnie
Wysłucha mojej prośby i błagania,
Zezwoli na to, abym cię małżonką
Moją mógł nazwać!

MAGDALENA.

Czyż to rzecz możebna?
Wszak tyś Lewita, a ja niewolnica

W pospólstwa tłumie tylko znaleziona;
Jakże w tym rodzie ja, dziewka służebna
Mogłabym stanąć!

JONATAN.

Słuchaj Magdaleno,
Czy z Nazaretu nie doszły cię wieści
O tym proroku, który swą nauką
Równość powszechną między ludźmi głosi?!

MAGDALENA.

Słyszałam o nim, lecz to niewyraźnie,
Bo utrzymują jedni, że ten prorok
Ubóstwo samo przygarnia do serca
I dusze ludzkie bożem słowem leczy;
A inni mówią niestworzone rzeczy, —
Że lud buntuje — że to jest bluźnierca,
Który zawładnął biednym, ciemnym gminem
I sam się mieni być Jehowy synem!

JONATAN.

I ja słyszałem o nim takie wieści,
Ale wiem także, że się lud wsłuchuje
W nowe poglądy i braterstwa hasła...
Nietylko lud sam, nietylko tłum szary,
Ale i ludzie wyższego znaczenia —
Uczeni w piśmie! Słyszałem jak stary
Sługa nasz Aron opowiadał ojcu
O tej nauce — a ojciec mój potem
W rozmowie ze mną poruszył tę sprawę
I rzekł znamienne dla mnie wówczas słowa:
Że równość ludzką razem z naszym światem
W potędze swojej stworzył sam Jehowa,

By jeden człowiek drugiemu był bratem!
Stąd wnosić mogę, że ojciec wyznając
Takie zasady — syna nie odtrąci,
Gdy mu pokorną swą prośbę przedłoży!
(*powstaje — pożegnalny uścisk*).

MAGDALENA.

A jednak serce i duch się mój trwoży,
Aby z ust ojca na twą biedną głowę
Nie padł grom klątwy!

JONATAN.

Klątwy?... za cóż klątwy!?
Za to, że ciebie mój aniele biały
Duszą i sercem pokochałem szczerze,
Za to, że może z Jehowy wyroków
Dwie dusze nasze w swych przeznaczeń biegu
Na jednej drodze spotkać się musiały?!...
Nie Magdaleno — nigdy nie uwierzę,
Aby mój ojciec życie mógł mi złamać!
(*p. k. m.*)
Bogactw nie żądam, skarbów się wyrzeknę —
Mam ręce silne i w jednym szeregu
Z roboczym ludem pracy się podejmę;
Ale się ciebie — mojego anioła
Do ostatniego nie wyrzeknę tchnienia,
Choćby mnie ojciec i w świątyni przeklął!
Śmierć jedna tylko rozdzielić nas zdoła,
Śmierć tylko jedna, gasząc skrę istnienia,
Gdy pierś mą zmrozi lodowatym chłodem,
Zgasi i miłość w mojem sercu młodem!

(*odchodzi*).

SCENA 2. MAGDALENA i RUBIN.

(*Rubin wysuwa się niepostrzeżenie z poza krzewów tarasu i nieruchomo staje pod drzewem*).

MAGDALENA (*do siebie*).

I czemuż miłość tak jasna i czysta,
Jak gdyby w sercach zrodzona aniołów
Albo z słonecznych utkana promieni —
Pod czarnej nocy kryć się musi skrzydła?!
I czemuż ona nie daje radości
Ani uśmiechem naszych ust nie darzy,
Czemuż, ach czemuż — nam dwojgu na ziemi
Nie dają szczęścia i doli niebiosa —
Czemuż uczucie wielkiego kochania
Łzy z ócz wyciska i serca rozrania?!
(*spostrzega Rubina*)
Ah!!... Rubin!... skąd wy?!...

RUBIN.

Witaj złotowłosa!

MAGDALENA.

Nocą krążycie koło mojej chaty?...

RUBIN.

Czy ja sam jeden?... Mając wiele czasu
Siedziałem długo na stoku tarasu
I byłem świadkiem, jak Jonatan młody
Karmił swe oczy blaskiem twej urody!

MAGDALENA.

Wam to przystoi skrytą pełzać drogą
I gwałtem w cudze wdzierać się tajniki. —

RUBIN.

Żal mi cię bardzo.

MAGDALENA.

Nie żądam współczucia.

RUBIN.

Miłość ci serce przepali na popiół!

MAGDALENA.

To moja sprawa!

RUBIN.

Łzami ją opłacisz!
Ty nie wiesz może, że Ezechel stary
Prędzej się syna na wieki wyrzeknie,
Prędzej go złoży na śmiertelne mary —
Zanim na wasze zezwoli małżeństwo!

MAGDALENA.

Bardzo być może — lecz wy stąd odejdźcie
I mnie na zawsze zostawcie w pokoju!

RUBIN.

Ha, widzę dobrze — że nie chętnie słuchasz
Mojego głosu.

MAGDALENA.

Ja nie chcę go słyszeć
I was Rubinie nie chcę widzieć nigdy.

RUBIN.

Tak mi odpłacasz najgorętszą miłość?!
Wszak ja cię kocham więcej niż Jonatan,

Więcej niż sama wyobrażasz sobie;
Ja ciebie kocham tak, jak kocha...

MAGDALENA.

szatan!
A ja sztańskiej nie chcę znać miłości.
(Chce odejść, Rubin ją wstrzymuje).

RUBIN.

Stój i nie odchodź! Spojrz na mnie — ja cierpię,
Cierpiałem długo, słuchając słów jego,
Krew falą biła o serce i skronie,
Gdym jego widział jak ciebie w objęciu
Do piersi swojej tulił i przyciskał!
Szalałem z bolu, krwawy piorun zemsty
Huczał mi w głowie i w mej duszy błyskał;
Chciałem biedz do was — stanąć między wami,
Tak jak duch śmierci między ludźmi staje,
(wydobywa krótki miecz z pod płaszcza)
Chciałem to ostrze jak srebro świecące
Skier tysiącami w księżycowem srebrze —
W krwi jego barwy przystroić gorące!
O, bo ja długo już u ciebie żebrzę
Choćby o jedno przychylniejsze słowo
Choćby o jedno jaśniejsze spojrzenie!

MAGDALENA.

Mamże przed wami powtarzać na nowo,
Że prędzej złożą mnie w grobowej skale,
Nimby się wasze ziściło pragnienie!

RUBIN.

Czemużeś tylko dla mnie tak okrutna,
Czemu na widok mojego cierpienia

Zostajesz zawsze jak głaz niewzruszona?
Czyliż cię ból mój żalem nie napawa?!

MAGDALENA.

Wy macie przecie żonę poślubioną,
Wy księgi znacie i zakonu prawa,
Wy wiecie o tem, że zakon zabrania
Mężom żyć grzesznie w związku cudzołożnym!
Wy nie Rzymianin, by w kulcie bezbożnym
Szukać swobody dla żądz swych doboru!
Wy nie poganin ani też zaprzaniec,
Któryby służył Jehowie z pozoru!
Wy z wybranego narodu wybraniec!
Wszak was się nieraz cała ludu rzesza
O sprawy ludzkie i o boże pyta,
Wszakże wy sami z świętych ksiąg Mojżesza
Czytacie prawo, bo i wy Lewita!
Czyliż wy na to zrodzony szlachetnie,
By żyć i czynić podle i nikczemnie?
Co do mnie — mówię, że wprzódy śmierć przetnie
Pasmo dni moich, zanim nałożnicą
Waszą zostanę!

RUBIN.

Bronisz się daremnie,
Są bowiem prawa w samem człowieczeństwie,
Zakryte wielką życia tajemnicą, —
One w swej sile i w swej wszechpotędze
Wskazują drogę ludzkim przeznaczeniom!
Praw tych nie skreśli mojżeszowe prawo
Ani pisanie w świętej pisma księdze —
One władają i jawą i śniciem,
One w krwi żyją, ja im uledz muszę,

Choćby mi przyszło piekła przejść katusze,
Podeptać zakon i przepłacić życiem!
(*p. k. m.*)
Cóżem ja winien, że to coś, co mogło,
Co miało siłę wzniecić pożar w piersi,
Istotnie pożar w niej mi rozniecił!
Cóżem ja winien, że moje uczucia
Już od pierwszego na ciebie spojrzenia
Wyłącznie tylko twoim śladem dążą?
Cóżem ja winien, że w tych żyłach moich
Płomiennej lawy żarne fale krążą!

MAGDALENA.

Słuchać cię nie chcę!

RUBIN.

Zostań, ja ci powiem,
Że żar ten serce przepalił i duszę —
Musisz być moją, ja cię posiąść muszę,
Ja się nasycić muszę twojem ciałem —
Inaczej umrę z pragnienia rozkoszy!
Ja ciebie widzę we śnie i na jawie,
Muzykę twego głosu tylko słyszę,
Pierś moja tylko samą tobą dysze,
Ja każdą myślą ciebie jedną pieszczę,
Twojem wspomnieniem duszę się i dławię,
Ty w moje ciało mróz wtłaczasz i dreszcze!
Musisz być moją!

MAGDALENA.

Nigdy nią nie będę!

RUBIN.

W otchłań się czarną myśl moja zanurza —
Zgaś w twoich oczach piorunowe błyski —

Słuchaj mnie Magdem
(*wskazując na serce*) tu szaleje burza,
Jam już szaleństwa i rozpaczy bliski!
(*czule — zniżonym głosem*)
Słuchaj mnie Magdem — mówię głosem cichym
I słodkim szeptem słodkie rzucam słowa,
Na jakie miłość zdobyć się jest zdolna!
O Magdem, Magdem — bądź ty mi powolna,
Ja cię bogactwa otoczę przepychem,
Skarby ci oddam — będziesz jak królowa
Szkarłatem strojna, perłą i szmaragdem,
Na których słońce promień swój rozpali,
Na skroń twą włożę dyadem z opali,
Pod stopy twoje bezcenne kobierce
Rozścielać będę — tylko ty o Magdem
Bądź mi powolną i odmień swe serce!

MAGDALENA.

Nie po raz pierwszy plwasz mi w duszę jadem
Zwierzęcej żądzy!

RUBIN.

Więc ty mnie odtrącasz?

MAGDALENA.

Pragnę ze serca odtrącić na zawsze.

RUBIN.

Dla Jonatana masz słowa łaskawsze,
Lecz ja przemocą wezmę cię, — tyś moja!

MAGDALENA.

Śmierć sobie zadam!

RUBIN.

Nim twój trup ze siebie
Wydałby ciepło twojej krwi krążenia,
Zanimby ostygł — prędzej od płomienia
Mojego ciała rozgorzałby cały!
O tak — i trup twój, nawet trup stężały,
Dałby mi rozkosz, której tak pożądam!

(chce ją ująć w pół).

MAGDALENA.

Precz!... Precz odemnie!...

RUBIN.

To ostatnie słowo?!

MAGDALENA.

Innego nigdy z ust mych nie usłyszysz!

RUBIN.

Słuchaj! ja będę mścić się! na nim mścić się,
Aż grób otworzę, aż go zamknę w grobie,
Aż twoją miłość w skalnej jamie złożę!!
I pieszcząc wzrok mój twych czarów zachwytem
Potwornie mścić się będę i na tobie —
Aż z bolu będziesz u nóg moich wić się —
I mnie o litość błagać łkań skowytem!
Wzrok ci zasłonię wiecznych cieni nocą,
Przed tobą zamknę pamiątek twych cmentarz,
I pamięć z duszy wydrę ci przemocą —
Tak, że mnie tylko i ból zapamiętasz!!

MAGDALENA.

Mścić się potrafisz! I nikczemna żmija,
Pełzając cicho, kąsa i zabija!

(odchodzi do domu).

SCENA 3. RUBIN I RACHELA.

Po wyjściu Magdaleny Rubin z zaciśniętemi pięściami stoi zwrócony ku domowi, jakby się ważył, czy ma wejść do wnętrza).

RACHELA.

Co was Rubinie w tej porze sprowadza
Do mego domu?

RUBIN.

Ach — to ty Rachel!?
Niezbyt troskliwa macierzyńska władza,
Nie strzeżesz pilnie córki twojej cnoty!

RACHELA.

Z jakiejż przyczyny czynisz mi wyrzuty
O córkę moją szlachetny Rubinie?

RUBIN.

Bo tu Jonatan na sprosne pieszczoty
Nocą się wkrada ze wstydu wyzuty —
I noce trawi przy twojej dziewczynie.

RACHELA.

Jonatan bywał tu dawniej czasami,
Lecz zakazałam...

RUBIN.

Bywa on i teraz!

RACHELA.

Teraz nie bywa!

RUBIN.

Ty wierzysz w to stara?

RACHELA.

Wierzę Rubinie, bo dałam mej córce
Za to kochanie naukę porządną —
I wiem, że teraz...

RUBIN.

Jak dawniej Jonatan
Stale przychodzi, gdy cię w domu niema;
Ledwie przed chwilą twe progi opuścił!
Wiedz ty i o tem, że Ezechel w gniewie
Zgnębi cię stara wraz z dziewką nierządną,
Która swym wdziękiem podle i zdradziecko
Najzacniejszemu w tym kraju Lewicie
Krzywdę wyrządza, bałamucąc dziecko!
Ezechel dotąd jeszcze o tem nie wie,
Bo wszystko przed nim urządza się skrycie;
Ale się dowie, — dowie się nareszcie
O waszych sprawkach — a wtedy się strzeżcie,
By was dłoń jego ze ziemi nie starła!
Rozumiesz stara?!

RACHELA.

Dusza mi zamarła —
Co wy prawicie szlachetny mój panie,
A jam niewinna i córka niewinna.

RUBIN.

Ty jesteś ślepa, a córka — uczynna,
A przytem ładna i młoda i gładka.
Gdy czujność matki uśpi i oszuka,
To w końcu przecie nieprzezorna matka
Piastować będzie z mięszanej krwi wnuka,
Chociaż nikt córki nie pojął w małżeństwo!
(*odchodzi*).

RACHELA (*zwracając się ku chacie*).

Wyrodne dziecko! Przekleństwo! Przekleństwo!...
(*zasłona spada*).

ODSŁONA DRUGA.

(Scena przedstawia komnatę w domu Ezechela bogato kobiercami przystrojoną, drzwi w głębi i po prawej, po lewej okno — po przeciwnej stronie od okna stół, na nim zwoje pargaminów. Przy podniesieniu kurtyny Ezechel siedzi na zydlu, Rubin stoi przy drugim.

SCENA 4. EZECHEL i RUBIN.

RUBIN.

Sprzeczności wiele — nie ma nic pewnego
Prócz jednej rzeczy, że ten nowy prorok
Podjął się walki z Jehowy zakonem
I z uświęconym w narodzie ustrojem.

EZECHEL.

Bądź co bądź widzę, że będziemy mieli
Niepokój w kraju — bo skoro się schlebia
Tak nieopatrznie ciemnym tłumom ludu,
To tłum ten wkrótce, poczuwszy swą siłę,

Będzie się od nas wszelkich praw domagał!
Fałszywy prorok wiatr sieje po kraju,
By z siewu tego zbierać kiedyś burzę!

RUBIN.

Kto się wsłuchuje w te podziemne wrzenia
Ten wie, że wulkan już grozi wybuchem -
Przewrót się zdaje być już bardzo blisko.

EZECHEL.

Muszę tę sprawę na najwyższej radzie
Zaraz poruszyć.

RUBIN.

Bo przewrót, przewrotem,
Choć siłę mamy, któż przewidzieć zdoła,
Co będzie jutro, co nastąpi po tem. —
Przypuszczać można, że ten ruch ludowy
I ta głoszona przez proroka równość,
Która w zbiorową duszę już wniknęła —
Bardzo uszczupli z naszych dóbr dochody.
Już teraz motłoch rzuca pracę w polu
I pola nasze leżą nam odłogiem,
Chleba nam braknie!

EZECHEL.

Co do mnie dość wcześnie
Zdołałem jeszcze zapobiedz tym skutkom
Nazaretańskiej nowej propagandy.
Kazałem moim wszystkim komisarzom
Pilnie uważać na obszar ziem moich.
Jak dotąd jeszcze nowatorskie hasła
Do mego ludu nie znalazły drogi.

A gdyby kiedyś przedrzeć się tam miały
I przyjąć może — to użyję władzy,
Zmuszę do pracy i srogim być zdołam!

RUBIN (*po chwili namysłu*).

To jest najgorsze dla nas Ezechelu,
Że za tej nowej nauki hasłami
Nie sam lud idzie. —

EZECHEL.

Nie całkiem rozumiem.

RUBIN.

Mówią, że są już także w naszej sferze
Ludzie przejęci zasadą proroka.

EZECHEL (*z uśmiechem*).

Żarty Rubinie! Trzeba być bezdomnym,
Nędzarzem tylko albo niewolnikiem,
Aby się przy niej można opowiedzieć.

RUBIN.

Ty w to nie wierzysz?!

EZECHEL.

Bo rzecz nie do wiary!

RUBIN.

Mam ci wymienić może dla przykładu
Imię wyznawcy?

EZECHEL.

Owszem — proszę o to!

RUBIN.

Twój syn rodzony.

EZECHEL (*zrywając się z miejsca*).

Jonatan?!... To brednia!

RUBIN.

Wiem Ezechelu, jakim strasznym ciosem
Ranię ci serce; — ale trudna rada —
Lepiej złej doli prosto zajrzeć w oczy
Niźli się przed nią ukrywać trwożliwie.

EZECHEL.

Skąd ty wiesz o tem?!

RUBIN.

Wiem z własnych słów jego,
Które zdołałem podsłuchać z ukrycia!

EZECHEL (*załamując ręce*).

Ach syn mój!... syn mój!...

RUBIN.

Zasadę równości
Przystosowuje praktycznie do życia!

EZECHEL.

Jak to, co mówisz?!

RUBIN.

Opowiem ci wszystko
A sam osądzisz. — Jonatan był zawsze
Pilnym zbieraczem nowin z Nazaretu,

Połykał chciwie każdą wieść słyszaną,
Wchłaniał ją w siebie i ukrywał w duszy,
Aż wedle nowej urobił ją modły!

EZECHEL.

Ach, ach Rubinie!

RUBIN.

I zamarł duch dawny,
Zastygło serce i wiara w twym synie,
Wygasła szczerość przed ojca obliczem!
Przez tobą przecie nie zwierzał się z niczem,
Lecz niósł zwierzenia w prostacki dom podły,
Gdzie wobec dziewki odsłaniał swą duszę!

EZECHEL.

Ty mnie zabijasz!...

RUBIN.

Z tamtej strony miasta
Za południową opuszczoną bramą
Jest dom lub raczej uboga lepianka,
Z której okienka widok się roztacza
Na lśniącą wstęgę srebrnych wód Jordanu!
Tam żyje pewna uboga niewiasta.
Wdowa, obcego zda się pochodzenia.
Ona ma córkę, dziewkę bardzo młodą
A obdarzoną przedziwną urodą!
Gładka uroda, toć powód do grzechu,
To płomień, który i duszę przepali —
Rzecz przecie ludziom znana, bo nie nowa —
A na jej licach róże ślad oddechu
Pozostawiły! I nadto Jehowa

Ozdobił usta czerwienią korali,
Czoło przystroił w zwój złotych warkoczy,
Dał zęby z pereł i z bławatów oczy!...
Twój syn ją zoczył, a że krew nie woda,
Więc też zapłonął do niej jak pochodnia;
Że zaś dziewczyna zna bardzo dokładnie
Nazaretańskich nauk tajemnicę —
Zatem Jonatan i prędko i składnie
Znalazł w niej swoich myśli powiernicę.
Teraz rozumiesz?!

EZECHEL.

To zbrodnia!... To zbrodnia!...

RUBIN.

Wszystkich pokoleń i stanów zrównanie
U Jonatana urosło w moc prawa
A i w powagę jakby przykazanie!
Na tej podstawie, oparłszy swój zamiar —
Bez względu może na twą chęć i wolę,
Bez względu może, że na jego głowę
Rzuciłbyś klątwę — chce tę dziewkę obcą
Podnieść do siebie — dać ci w niej synowę.

EZECHEL (*z dławionym głosem*).

Brednia — nic więcej! na to nie pozwolę!

RUBIN.

Wątpię, czy zdołasz teraz go poskromić,
Charakter jego zbytnio wybujały,
W duszy mu świecą jej oczy płomienne
I nowych prądów mętne ideały,
Jakieś się śnicia plączą na pół senne

W tajonych pragnień dziwnej gmatwaninie!
Wątpię, czy siła — jaką masz nad synem
Nie znajdzie równej siły w twoim synie!
Bacz na to dobrze, broniąc rodu cześci,
Abyś stanąwszy z dzieckiem twem do boju,
Nie padł pod ciosem cierpień i boleści
Sam zwyciężony!

(*odchodząc*)

Pozostań w pokoju!

SCENA 5. EZECHEL SAM.

EZECHEL.

Ach mój Jonatan!... syn mój!... syn jedyny!
Nowej nauki tajemny wyznawca,
Szermierz z pod wrogich zakonowi znaków!...
O wielki Boże! Abrahamów Boże!
Boże Jakubów i Boże Izaaków!
Jakoś Ty światła słonecznego sprawca,
Jakoś niem świecił zawsze w Izraelu —
Tak mi uratuj syna od zagłady!
Uratuj Panie to jedyne dziecię!
Wszak to ostatni szczep Lewitów wielu,
Dziecko tej wiernej Twoich sług plejady!
O nie daj Panie, bym to młode życie
Gromami klątwy musiał zgnieść i złamać,
O nie daj Panie, by go świat przewrotny
Nauczył prawdzie i Twym prawom kłamać,
O nie daj Panie, bym duchem złamany —
Odszedł do Ciebie z tej ziemi samotny,
Bym łzy w grób zabrał na sen nieprzespany!

(*zakrywa oczy — dłuższa chwila milczenia — potem Ezechel przechadza się po komnacie i przystaje, wreszcie powziąwszy postanowienie uderza w dłonie*).

SCENA 6. EZECHEL i ARON.

EZECHEL.

Słuchaj Aronie...

ARON.

Rozkazuj mi panie!

EZECHEL.

Tyś pierwszy wieść mi przyniósł o proroku.

ARON.

Co zasłyszałem między ludźmi w mieście
Wiernie ci panie wszystko powtarzałem.

EZECHEL.

Gdzie jest ten prorok?

ARON.

Koło Nazaretu
Po okolicy krąży i naucza.

EZECHEL.

Powiedz Aronie ale prawdę szczerą...

ARON.

Powiem ci panie.

EZECHEL.

Czyli mój Jonatan
Widział proroka lub mówił z nim może?

ARON.

Nie widział panie.

EZECHEL.

A ty go widziałeś?

ARON.

I jam nie widział.

EZECHEL.

Skądże syn mój — powiedz —
Poznał głoszone przez niego nauki?

ARON.

Te lud zna wszystek — musiał syn wasz panie
W gronie młodzieży dowiedzieć się o nich!

EZECHEL

Czy syn mój z domu czasami wychodzi?

ARON (*zmięszany* — *po chwili*).

Wychodzi panie.

EZECHEL.

Kiedy, w jakiej porze?

ARON.

We dnie... lub — w nocy...

EZECHEL.

To ty mu te nocne
Tajne wycieczki ułatwiasz usłużnie!
On szuka codzień zabaw poza domem —
Syn się po nocach wykrada jak zbrodzień.
Zły sługa w zmowie z niegodziwem dzieckiem
Ojca i pana sposobem zdradzieckim
Okrywa hańbą i wstydem i sromem!

ARON.

Przebacz mi panie — wasz syn równie z wami
Wiernemu słudze rozkazywać może;
Kazał mi milczeć, więc jak grób milczałem.

EZECHEL.

Chadza do domu ubogiej niewiasty.

ARON.

Podobno bywa u wdowy rybaka.

EZECHEL.

Powinienbym cię wydalić Aronie
Za te ze synem potajemne zmowy,
Wzgląd mam jedynie, że od dziecka prawie
Służysz w mym domu, że nam obu głowy
Razem okryła starości siwizna —
I że nareszcie syn ci milczeć kazał —
Dlatego zostań, lecz odtąd już wiary
Ani ufności nie pokładam w tobie!
Odejdź — i niech się Jonatan tu stawi!

SCENA 7. EZECHEL i JONATAN.

JONATAN.

Jestem mój ojcze! Witam cię z pokorą!

EZECHEL.

Z pozoru tylko umiesz być pokorny,
W istocie nosisz w duszy bunt ukryty,
Serce masz pełne przeciw ojcu zdrady
I pełne różnych innych jeszcze mętów —

A ja żal tylko i ból niespożyty,
Gdy ty wstępujesz w Absalona ślady!

JONATAN.

Niełaską twoją zbyt ostro mnie sądzisz!

EZECHEL.

Tylko cię proszę — bez żadnych wykrętów —
Wszak znam już wszystkie twoje skryte czyny,
I wiem najlepiej jak grzeszysz i błądzisz!
(*po krótkiem milczeniu*)
Tyżeś to, tyżeś — mój syn, mój jedyny?
Krew ze krwi mojej i kość z mojej kości?!
Tyżeś, którego jeszcze w matki łonie
Jam całem sercem i duszą ogarniał?!
Tyżeś, którego w pierwszych dniach młodości,
Jam tak hołubił, pieścił i osłaniał,
Byś mi się zdrowo chował i nie zmarniał!
Tyżeś to syn mój — czy też przeniewierca?
W dziwnej sprzeczności naszych dróg kolei —
Pogromca duszy ojcowskiej i serca,
Zabójca wszystkich pragnień i nadziei?!

JONATAN.

Prawdziwie nie wiem...

EZECHEL.

Przecież nie bezwiednie
Karmisz się strawą tych bluźnierczych nowin?
Przecie wiesz dobrze, że te wszystkie brednie
Wylęgłe w mózgach społecznych szumowin,
To jawna walka z Bogiem i zakonem.

JONATAN.

Są jednak rzeczy w dziele osądzonem,
Które należy sądzić bez uprzedzeń,
Jeśli fałszywą nie mamy pójść drogą.
Ludzie są ludźmi — więc i błądzić mogą,
Gdy wyrokują z samych tylko zwiedzeń,
Jakie po kraju rychła wieść rozniosła!
Znam tę naukę i mogę rzec o niej,
Że jest szlachetna i wielka i wzniosła!

EZECHEL.

Wzniosła powiadasz?!... Aleć zakon broni!...

JONATAN.

Ma uzupełniać zakonu podstawy...

EZECHEL.

Czyś ty oszalał?! czyś nie świadom sprawy?
Kto uzupełniać, kto poprawiać może
Skończenie dobre, wielkie dzieła Boże!?
Zamęt w pojęciach, rozwichrzone prądy,
Które nędzarze podsycają prości,
Zgubne postępu drogi i poglądy...

JONATAN.

Nauka głosi zasadę miłości...

EZECHEL.

Pogląd twój także mąci się i miesza!
Ty mi tych zasad głosić nie zaczynaj! —
Jest jeden zakon — ten na górze Synaj,
Który powierzył Bóg w ręce Mojżesza!
Czyś ty wyrzucił zupełnie z pamięci

Nasze rodowe prześwietne wspomnienia?
Czy tyś zapomniał, że ród opromienia
Szereg kapłanów, którzy jako święci
Strawili życie przy arce przymierza!?
Czyś ty zapomniał, że w tym wielkim rodzie
Narodu serce od wieków uderza?!
Że w dziejów naszych ogromnych pochodzie,
Którego wielkość obce ludy trwoży
Byli w tym rodzie pomazańcy boży —
Wodze i króle, — wielcy, duszy świetnej?!
I ty Lewita, syn tej krwi szlachetnej,
Co dumą przodków powinien być dumny,
Ty śmiałbyś zdeptać zbutwiałe ich trumny
I stopą zmiażdżyć te królewskie próchna?!
(*p. k. m.*)
Wszystko co będzie, to nie to, co było,
To nie ta wielkość, którą się przeżyło;
Wszystko, co będzie — to jest mgła leciuchna,
Która się wznosi przejrzystym oparem
Nad cmentarzyska uspionym obszarem!...
A jednak przecie z przeszłości skarbnicy
Muszą następne wszystkie pokolenia
Odkrywać znaki wielkiej tajemnicy
Własnego bytu! — O tak — do istnienia
I do dalszego przez dzieje pochodu
Przeszłość odnawiać musi krew narodu,
Bo takiej karmy jego dusza łaknie...
Inaczej naród padnie wyczerpany
Jak pada człowiek, gdy mu krwi zabraknie!
Patrz, co się dzieje teraz w naszych czasach —
Powstaje człowiek nikomu nieznany,
Wyczuwa pomruk w ciemnych ludu masach,
Pomruk odwieczny, strojony przez nędzę —

I on ogarnia rzecz tę bystrym wzrokiem
I na tem snuje swych zamiarów przędzę.
Lud go natychmiast okrzyknął prorokiem
I on prorokiem dla motłochu będzie,
Bo ludzie z gminu tego Syna cieśli
Aż do tej wielkiej godności wynieśli!
Lecz jemu mało — w nowatorstwa pędzie
Poprawia zakon wbrew prawom zakonu —
I jeszcze mało — do Jehowy tronu
Dłoń swą podnosi! — Krew się w żyłach ścina,
Kiedy się słyszy, że on, człowiek ziemi
Podaje siebie za Bożego Syna!
Precz z tą nauką, ze słowy takiemi,
Co ranią duszę i przeszłość nam znoszą!
Bluźniercze usta, co taką rzecz głoszą!

JONATAN.

Przebacz mi ojcze, jednak pismo święte,
Wskazuje niemal na tę wielką postać!...

EZECHEL.

Milcz Jonatanie!.,. Serce żalem zdjęte,
Goryczy tylko karmione piołunem —
W grób by się rado każdej chwili dostać,
By oczu twoim upadkiem już nie paść!
Ty własną dłonią grzebiesz sobie przepaść!
Piorun na ustach zawisnął! Piorunem
Ojcowskiej klątwy na proch cię zdruzgoczę!

JONATAN.

Ojcze mój! Ojcze! — drogą prawdy kroczę,
A serce moje żalem się oblekło!...

EZECHEL.

Ojców i dziadów wyrzekłeś się ducha
To twoja zbrodnią i to twoja wina!
Czerwone sobie otworzyłeś piekło,
Co żarem zieje i płomieniem bucha!
Tyś mnie pohańbił!

JONATAN.

Ja?!...

EZECHEL.

I ta dziewczyna,
Gdzieś przy Jordanu kryjąca się zboczach
O złotych włosach i bławatnych oczach!

JONATAN.

Kocham ją ojcze! Miej litość! Twe dziecię
Tak ją miłuje jak szczęście, jak życie,
Jak pamięć matki i święte jej cienie!...

EZECHEL.

Milcz! Niech ją wieczne pokryje milczenie!
Ty się nie lękasz ni sądu, ni kary —
Tyś się krwi twojej dla niej sprzeniewierzył —
Bogdajbyś synu na ziemi był nie żył!
Bogdajbym pierwej złożył cię na mary!

JONATAN.

Ojcze mój drogi! tę duszę anioła
I postać pełną nieziemskiego czaru
Jam wchłonął w siebie...

EZECHEL.

Moja wola zdoła,
Ją od twej myśli odedrzeć i serca!
Ty jej ślubnego nie zaniesiesz daru
I nie rozcielisz przed łożem kobierca!
Kto inny dziewkę zabierze do łoża,
Bo taka wola i moja i boża!

JONATAN.

Żali jej inne przeznaczasz zamęście?
A ja cóż pocznę?!...
Gdzież jasnych snów śnicie?
Gdzie dola moja?! Gdzie słońce, gdzie życie,
Gdzie szczęście moje!?

EZECHEL.

Nie z nią twoje szczęście!
Patrz rana w sercu krwawi się głęboka;
Wznieś rękę twoją i w jej czeluść sięgnij!
Ty masz ratunek w jednym tylko środku,
Będziesz mi synem, lecz rzuć błędów drogę!
Tu mi przed Bogiem na pismo przysięgnij,
Że się wyrzekasz dziewki i proroka!

JONATAN (*zasłaniając oczy*).

Nie mogę ojcze!... Nie mogę!... nie mogę!...

EZECHEL.

Bądźże na zawsze przeklętym wyrodku!

JONATAN (*padając mu do nóg*).

Ach! miłosierdzia!...

EZECHEL (*b. uroczyście*).

Zamarło mi w duszy!
Bądźże przeklętym ty i dzieci twoje —
Niech was po ziemi Pan nieba rozprószy,
Ty doli nie znaj, życiem żyj tułaczem,
Karm się goryczą piołunów i płaczem,
Nie zaznaj szczęścia — tylko łzy i znoje!
Niech każda twoja utrudzona praca
Owoce swoje w niwecz ci obraca!
Niech ci ból tylko w życiu towarzyszy,
Zanim śmierć blada jęk i płacz uciszy!

(*odchodzi, pozostawiając płaczącego na klęczkach Jonatana*).

Zasłona spada.

AKT II.

ODSŁONA PIERWSZA.

(Sala w ratuszu. Stół z resztkami nakrycia, które zbierają i wynoszą niewolnice. Wieczór, w świecznikach płoną oliwne lampy. W głębi drzwi — po prawej szerokie okno — łoże zwrócone ku przodowi sceny, na którem spoczywa Valerius Gratus w pozycyi półleżącej, oparty na łokciu z wieńcem na skroni. Opodal zydel, na którego poręczy leży porzucona szkarłatna toga, złotem przerabiana. Pod oknem stoi Marek w hełmie złocistym o czerwonych piórach (strój rzymskiego wojownika) w szafirowym płaszczu, narzuconym na ramiona.)

SCENA 1. VALERIUS i MAREK.

VALERIUS.

Znudzony jestem!... od iluż tygodni
Wiem, że opuszczę te posępne mury —
I dnia wyjazdu doczekać nie mogę!
(*ziewa — po chwili*).
Ach dziwny świat ten — dziwny ten kraj wschodni,
Cichy jak cmentarz i jak śmierć ponury,
Aż dreszcz przechodzi!
(*otrząsa się — po chwili*).
Daj mi Marku togę.

MAREK (*podając togę, którą się Valerius odziewa i wstaje*).

Pontus niebawem zastąpi cię panie.

VALERIUS.

Oby już przybył w to miasto pustynne.

MAREK.

Opóźnił przyjazd tylko z tego względu,
Że burza morska...

VALERIUS.

Ależ to czekanie
Śmierci się równa! Senat mnie z urzędu
Tak dawno zwolnił!
(*po chwili*) Ja tęsknię do Romy,
Tam — prawda Marku — życie całkiem inne,
Wesołe uczty, cyrki, hipodromy,
Przytem kobiety!... Ach! rzymskie kobiety!

MAREK.

I ty je sławisz — i ja także sławię.

VALERIUS.

Bo jakiż powab w każdej z nich się kryje?!
Każda nasycić może zmysł estety,
Każda jak rzeźba Afrodyty grecka
W pieszczonych kształtach różowego ciała
Wytworne piękno w życia ma oprawie!
Nie masz Rzymianki, którąby nie znała
Sztuki łączenia płomiennych porywów
I drżeń rozkoszy z niewinnością dziecka!
(*po chwili*)
A tu w tym kraju ascetycznych wpływów —
Kobiety także od naszych odmienne.
Nie brak im ognia, który pierś rozpręża —
I one także pięknych ciał swych kształtem

Ujmywać mogą! Jednak to znamienne,
Że się je musi od ojca lub męża
Porywać z domu prawie zawsze gwałtem!

MAREK.

Z tego powodu boski Waleriuszu
Bywały kwasy... i skargi w senacie.

VALERIUS (*śmieje się*).

Dokończ mój Marku — że w ich rezultacie
Ja odwołany powracam do Rzymu,
A boski Pontus, chodząca powaga
W jerozolimskim zamieszka ratuszu!...

MAREK.

W tych czasach właśnie, w których jakieś wrzenia
Wyczuwać można. Tu czuć, że powietrze
Nasyca burza.

VALERIUS.

Więc sądzisz, że zły mu
I niekorzystny przypadł czas rządzenia?

MAREK.

O niezawodnie! Nowy prąd się wzmaga,
I gdy już w krótce ze starym się zetrze —
Pontus się może zawieść bardzo srodze,
W domowej wojny stanąwszy pożodze!

VALERIUS.

Nie sądzę Marku. To sprawa zbyt nikła
Ona nie zdoła rozpętać tu burzy
I spraw krajowych wcale nie powikła —

Zajmie umysły, lecz na krótką chwilę
I w zapomnieniu rychło się zanurzy!
(*p. k. m.*)
Tak, oczywiście — ich kult w swojej sile
Przetrwa wstrząśnienie! Chwilowa podnieta —
Prorok, jak jego ziomkowie — asceta!
Zresztą ta sprawa, na-wzgląd biorąc ściśle,
Jest dla nas obca.

MAREK.

Być może, lecz myślę,
Że w każdym razie z wypadków rozwojem
Trzeba w nich będzie zająć stanowisko...

VALERIUS.

Jednak zależnie zawsze — zdaniem mojem —
Od tego, czyli rzecz ta dosyć blisko
Otrze się o nas i imperium sprawy!
(*p. k. m.*)
Gdyby się buntu sformułował zaród,
I skierowany przeciwko Rzymowi —
To im dzień sądu wyprawimy krwawy!
Zaiste Marku — na Jowisza imię
Mamy dość siły, by zetrzeć ten naród!

MAREK.

To niezawodnie — któż się z Rzymem zmierzy?

VALARIUS.

Chyba ktoś taki, kto wbrew instynktowi
Śmierć samobójczym sprowadza sposobem!
Drażnienie Rzymu, gdy siła przy Rzymie

Byłoby dla nich upadkiem i grobem!
Mamy w żelazo zakutych żołnierzy,
Tak wyćwiczonych w boju należycie,
Że jak ten obszar imperium szeroki,
Możemy toczyć ludzkiej krwi potoki,
Gasząc z łatwością i narodów życie!
(*p. k. m.*)
O tak mój Marku — o to nie mam troski!

SCENA 2. VALERIUS, MAREK i LIVIUS.

LIVIUS.

Pontus szle Tobie Waleriuszu boski
Bratnie uściski — składam ci je panie!

VALERIUS.

Pilatus Pontus!? Gdzież teraz przebywa?!

LIVIUS.

W Ascalon stanął.

VALERIUS.

Godzino szczęśliwa!

LIVIUS.

Zanim zabłyśnie rannych zórz świtanie
Będzie w ratuszu.

VALERIUS.

Liviuszu młody
Za tę wieść miłą jesteś wart nagrody —
A że wiem o tem, iż z niewolnic grona

Naja ci zmysły poruszyła tkliwe —
Weźże ją sobie!

(*Naja ukazuje się w progu*).

A otóż i ona:

LIVIUS.

Dzięki ci składam!

VALERIUS.

Miej z nią dnie szczęśliwe.
Bogi niech kwieciem wieńczą wasze głowy.

SCENA 3. CIŻ i NIEWOLNIK.

NIEWOLNIK.

Ezechel przybył i prosi cię panie
O małą chwilę poufnej rozmowy.

VALERIUS (*do siebie*).

Skryty wróg Romy.

(*do niewolnika*)

Czegoż żądać może?

NIEWOLNIK.

Nie zwierzył mi się.

VALERIUS.

Powiedz mu niech stanie
Przed mem obliczem.

(*wszyscy wychodzą, pozostaje sam Valerius*)

SCENA 4. VALERIUS i EZECHEL.

EZECHEL.

Witam cię Gratusie!

VALERIUS (*do siebie*).

Nie doda nawet, że wita w pokorze.
(*głośno*)
I ja cię witam miły Ezechelu!
Ty w konieczności jawisz się przymusie
Więc radbym wiedzieć, w jakim stajesz celu?

EZECHEL.

Podobno jutro opuszczasz nas panie!?

VALERIUS.

Wracam do Rzymu.

EZECHEL (*podając mu szkatułkę*).

Ot na pożegnanie
Ten upominek przyjm od przyjaciela.

VALERIUS (*zdziwienie — po chwili otworzywszy szkatułę, wydobywa z niej kosztowności i waży na ręce*).

Ty mnie zadziwiasz — miałem cię za wroga.

EZECHEL.

Jak druha swego sądź ty Ezechela,
Choć nie jednego wyznajesz z nim Boga!

VALERIUS (*ironicznie*).

To rzecz podrzędna. Wszak moi bogowie
Z twoim się Bogiem w zaświatach nie wadzą —

Jakoś umieją tak dzielić się władzą,
Że choć przed duchem stoi otchłań pusta,
Nikt z ludzi o tem ni słowa nie powie —
Serca się skarzą, ale milczą usta!
(*Ezechel objawia zniecierpliwienie*).
Kult się od kultu wielą rzeczy różni —
Tem jednak wszystkie z sobą zrównane,
Że w tajemnice wkraczając grobowe —
I w sprawy nigdy z bliska niepoznane,
Nie mogą niczem dusz zapełnić próżni!

EZECHEL.

To rzecz poglądu!... Odmieńmy rozmowę.
Przyszedłszy drogi życzyć ci szczęśliwej,
Chciałem cię prosić o przysługę małą.

VALERIUS.

Mimo mej chęci prawdziwie życzliwej
Czas już tak krótki...

EZECHEL.

Masz jeszcze noc całą.

VALERIUS.

O cóż więc idzie?

EZECHEL.

O obronę cnoty
Mojego rodu.

VALERIUS.

Cóż się z tobą dzieje?
Nad czem bolejesz?

EZECHEL.

Jednego mam syna,
W nim były moje ojcowskie nadzieje,
Szczęście i duma — ta duma rodowa,
Że szczep się czysty w dalszy wiek zachowa.
Ty mnie zrozumiesz, ocenisz zgryzoty,
Wszak w tobie płynie krew patrycyusza —
I pojmiesz pewnie, jak straszna zawiłość
Serce me z uczuć ojcowskich wysusza —
Kiedy się dowiesz, że mój syn jedyny,
Niepomny wielkjej wobec rodu winy —
Gdzieś na uboczu znalazł małą chatę,
W niej dziewkę młodą, a w dziewce swą miłość!
Że zaś ta dziewka pochodzeniem obca
I niewolnica — zwabiła mi chłopca,
Chciałem go od niej oderwać mą wolą —
I... dziecka mego opłakałem stratę!
A łzy te pieką, ... a takie łzy... bolą...

VALERIUS.

Pojmuję ból twój!

EZECHEL.

Ja i dziś go jeszcze
Chciałbym ze serca odzyskać dla siebie,
Lecz wiem to dobrze i na pewno wieszczę,
Że mu pisane przekleństwo na niebie,
Że mu pisana i hańba i zguba —
Dopóki ona — ta dziewka prostacza
W pięknej postaci jasnego Cheruba,
Nad nim dziewiczy urok swój roztacza!

VALERIUS.

Cóż ja w tej sprawie dopomódz ci mogę?

EZECHEL.

Możesz... tak, możesz... wybierasz się w drogę...
O tobie zawsze szeroko mówiono,
Żeś niewiast wiele... i że przed senatem
Z tego powodu przeciw tobie pono
Żałoba była!... Ile prawdy na tem
Tego ja nie wiem, ani w to nie wchodzę...
Chcę tylko cześci i krwi bronić rodu,
Gdy przez młodzieńca pohańbiona srodze
Może się spotkać ze wzgardą narodu!...
Tobie pozwala i zwyczaj i wiara
Mieć nałożnice!... Otóż weź ją sobie,
Wywieź do Rzymu, wywieź w obce kraje,
Nawet ją ukryj — jeśli zechcesz — w grobie,
Byleby zgasła w sercu dziecka właśnie
Tak jako światło wypalone gaśnie!
Weźże ją sobie — ukój niepokoje
I łzy ojcowskie! — Tu masz pismo moje,
W którem poświadczam, że ci Magdalenę,
Córkę rybaka na własność sprzedaję —
Że za sprzedaną tobie niewolnicę
Całą należną odebrałem cenę. —
Ty ją dziś zabierz... dziś zmień w nałożnicę,
Lub daj żołnierzom... chociaż wiem dokładnie,
Że kiedy wzrok twój spocznie na jej ciele —
Za nic jej nie dasz. Jej wdzięki zbyt wiele
Warte dla ciebie — a łączą się składnie...
Będziesz mi wdzięczny, bo ona jest zdolną
Sprawić ci radość — to dziewka jak łania!

VALERIUS (*po chwili z ironicznym uśmiechem*).

Hm... zajmujące!.. A zakon nie wzbrania
Pomysłu tego w wykonanie wcielić?

Bo jak słyszałem — wam ponoć niewolno
Tak się rozrządzać istnieniem człowieczem.

EZECHEL (*nieco stropiony, po krótkiem milczeniu*).

Syna ratuję!... Pragnę ich rozdzielić
I związek serc ich tak przeciąć jak mieczem!

VALERIUS.

(*milczy znać, że się waha*).

EZECHEL.

Czy ty się wahasz?

VALERIUS.

Lękam się, bo może
W tem jakiś inny ukryty cel leży,
Może zasadzka...

EZECHEL (*wznosząc rękę — uroczyście*).

Ja przysięgam Panu,
Temu, w którego lud mój cały wierzy,
Przysięgam w ducha głębokiej pokorze,
Że tylko prawdę wyjawiłem samą!

VALERIUS.

Gdzież jest ta dziewka...

EZECHEL.

Nad brzegiem Jordanu,
Za południową odnajdziesz ją bramą —
Dom wśród cyprysów, kamienną ma ławę —
Zresztą tam drogę moi ludzie wskażą!...
Weź ją Gratusie — sprowadź tu pod strażą!

VALERIUS.

(*uderza w dłonie*).

SCENA 5. VALERIUS, EZECHEL, NIEWOLNIK, później MAREK.

VALERIUS (*do niewolnika*).

Poproś tu Marka.
(*gdy Marek wszedł — do niego*)
Pójdziesz na wyprawę
Z wielkim, jak sądzę, dla mnie dziś pożytkiem.
Weź Marku zaraz dziesięciu żołnierzy,
Słudzy zaś tego oto Ezechela,
Który mnie nowym obdarzył nabytkiem —
Wskażą ci drogę, którą iść należy!

MAREK.

Moje zadanie?...

VALERIUS (*podając mu rękę*).

W godzinę szczęśliwą
Odbiorę z ręki mego przyjaciela
Swą niewolnicę — pono urodziwą!

MAREK

(*wychodzi*).

EZECHEL.

Dzięki ci składam i życzę zarazem
Pomyślnych losów i szczęśliwej drogi,
Którą niech słońce tobie opromienia!

VALERIUS.

Niechże i ciebie błogosławią bogi,
Życzę byś rychło doczekał pociechy
Ze syna skruchy, z jego nawrócenia;
Niech ci łzy bolu zastąpią uśmiechy!
W całem tem dziele *(śmiejąc się)*
i ja ci tym razem
Przed słońca wschodem dopomogę szczerze,
Wierzaj mi druhu!

EZECHEL (*z bladym uśmiechem*)

W to najmocniej wierzę!

(*wychodzi*).

(Z drugich drzwi wchodzą niewolnice z arfami, grupują się naprzeciw łoża, na którem Valerius zajmuje miejsce jak z początkiem aktu. Muzyka — półzasłona spada dla zaznaczenia upływu jednej godziny. W tym czasie słychać smętną muzykę bez przerwy; po chwili zasłona się podnosi, sytuacya niezmieniona — niektóre światła gasną w świecznikach. Po dłuższej chwili Valerius unosi się nieco, przysłuchuje się coraz cichszej muzyce, wreszcie daje znak ręką, poczem niewolnice wysuwają się cicho z komnaty. Po ich wyjściu słychać za sceną szmer, później gwar — Walerius powstaje).

SCENA 6. VALERIUS, MAGDALENA, MAREK, ŻOŁNIERZE.

MAREK.

Oto jest panie twoja niewolnica!

MAGDALENA.

(*Włos rozwiany, twarz zakryta zasłoną*).

4*

VALERIUS.

Czemuż zakryte przedemną masz lica?
(podnosi zasłonę — zdumienie).
Ach!... złotowłosa?!...
(przypatruje się chwilę uważnie całej postaci Magdaleny, potem o krok się cofa odrzucając zdjętą z jej czoła zasłonę — Marek i żołnierze odchodzą).

VALERIUS.

Piękna!... Złotowłosa!...
Zbliżże się do mnie, niech ci się przypatrzę...
Lecz pocóż w oczach perląca się rosa?...
Czemuż masz lica od marmuru bladsze?!...
(po chwili, zbliżywszy się do niej)
Milczysz?... Ty płaczesz?... Podnieś rzęs zasłonę!

MAGDALENA.

Prócz łez, wszak nie mam nic na mą obronę,
Prócz łez, — lub śmierci!

VALERIUS.

Śmierć wspominasz bladą —
Wtedy, gdy życie falami krwi tętni?...
Gdy na nie słońca promienie się kładą?!
Niech się twe serce przy mojem rozsmętni!

MAGDALENA.

Promienie słońca?!... Któż to teraz zgadnie,
Jakim oświecą blaskiem życie czyje.

VALERIUS.

W duszy masz — widać — jakąś gorycz na dnie,
I zapominasz, że raz życie żyje!

MAGDALENA.

Gorycz?!... Nie gorycz, ale żar rozpaczy,
Który rwie serce i duszę mi targa —
Tę duszę moją tak biedną, tak krwawą!!
W niej jedna tylko straszna jęczy skarga!
Czy wiesz ty panie, czy wiesz co to znaczy,
Gdy się na ziemi wszystko... wszystko straci?
Miłość i nawet wszelkie do niej prawo,
Jakkolwiek ona taka sercu bliska, —
Szczęście i spokój i cześć u współbraci,
Prawo do ciepła własnego ogniska,
I nawet prawo do modlitwy ducha,
Której na niebie sam Bóg mój nie słucha!!

VALERIUS.

Tłumacz się jaśniej!

MAGDALENA.

Zabiłeś mnie panie!

VALERIUS.

Ja?...

MAGDALENA.

O tak panie! Nocą mnie porwawszy,
Zgasiłeś szczęścia mojego zaranie,
Nim je oświecił słońca blask kochany!
Ty mi zadałeś cios od śmierci krwawszy!!

VALERIUS.

Kupiłem ciebie — i akt mam spisany,
Którego słowa temu nie zaprzeczą.

Odtąd więc tylko moją jesteś rzeczą,
I piękną rzeczą!
(*przypatruje się jej z upodobaniem*)
Układ się opłaci,
Gdy tyle czaru i tyle uroku
Znalazłem naraz w twej boskiej postaci!
(*p. k. m.*)
Różami wieńczyć będę twoje skronie,
Odtąd już będziesz zawsze przy mym boku
Pierwsza z najpierwszych w niewolnic mych gronie.
Ty będziesz domu mojego ozdobą,
Będziesz najwyższą moich skarbów ceną!!
(*zbliża się do niej, chcąc ją objąć*)
Przez nerwy czuję piękna Magdaleno,
Ile rozkoszy zażyję dziś z tobą!

MAGDALENA (*usuwając się, wstrzymuje go gestem ręki*).

Wstrzymaj slę panie — cóż ci po mnie będzie?
Kocham innego — pamięć z nim związana
Przez życie całe pójdzie ze mną wszędzie!
Kocham go z duszy przez niego kochana
Ciebie jedynie znienawidzieć mogę!

VALERIUS (*z cynicznym uśmiechem*).

Wiem, że nim zorza czerwoną pożogę
Na wschodzie nieba żarami rozpali,
Że nim zaświta pierwszy brzask poranka —
W tobie — o boska zamilknie jęk żali
I zgaśnie pamięć twojego kochanka!

MAGDALENA.

Odziedziczyłeś krew patrycyusza
Po ojcach twoich — bądźże ty szlachetny,

Niech się poruszy twe serce i dusza,
Sam bądź tak świetny, jako ród twój świetny!
(*składając ręce*)
O panie!... panie!... Ty zaklęć litości,
Ty błagań moich wysłuchaj w tej chwili,
Uszanuj we mnie majestat miłości!!

VALERIUS.

Czemuż twe serce tak żałośnie kwili,
Wszak jesteś moją własnością wyłącznie, —
Nie masz swej woli, wszystka wola twoja
Z moją się teraz zlewa nierozłącznie!
Do innych przecie pojęć się nie nagnę —
I o to darmo wobec mnie się kusisz —
Ty musisz pragnąć, czego ja sam pragnę,
Czego pożądam, ty pożądać musisz,
Bo jesteś moja!
(*po chwili, zbliżając się do Magdaleny coraz bardziej — czule*)
O tak, jesteś moja!...
Oddech mnie dławi...
Życie w żyłach skrzepło!...
Ty mi dasz rozkosz!...
Chodź do mnie... do łoża...
Niech mnie ogrzeje twego ciała ciepło...
Boskiego ciała...
(*podczas tych słów Valerius usiłuje ogarnąć Magdalenę, która w ostatniej chwili wydobywa z zanadrza błyszczący nóż*).

VALERIUS.

Ach! Cóż to, broń biała?!

MAGDALENA.

Krok jeden naprzód — a to ostrze noża
W młodem mem sercu i krwi mej utopię!

VALERIUS.

Stój! Stój szalona! Ja się tem nie stropię,
Ty jesteś moja!!
(*słychać gwar za sceną — po chwili wpada Rubin, zdyszany, ubranie w nieładzie — powstrzymywany przez żołnierzy przemocą się wdarł do komnaty*).

VALERIUS.

Ah — Któż się tu wdziera?!

RUBIN.

Przebacz... mi... panie!...

MAGDALENA (*z odrazą*).

Serce mi zamiera!
Rubin!... To Rubin!...

RUBIN.

Chcę ci ją zapłacić!
Tę niewolnicę kupić chcę od ciebie —
Ty mi ją wydaj — wezmę ją do siebie —
Wydaj ją panie!...

MAGDALENA.

Panie! Ty mnie nie daj
W ręce Rubina!

RUBIN (*błagalnie*).

O panie mój — sprzedaj!
Ty zyskasz na tem, ty nie możesz stracić —
Bez targu dam ci pięć srebrników za nią!!

VALERIUS.

Jakąś myśl skrytą masz w tem i tajemną —
Ją — widzę — nawet twoje słowa ranią!

RUBIN.

Dam pięć srebrników — ona pójdzie ze mną...
Tak... pięć srebrników — toć przecie majątek!

VALERIUS.

W głupstwie się gubi twoich myśli wątek —
Za pięć, czy dziesięć, czy za sto jej nie dam!
Ona jest moja; jam dosyć bogaty,
Bym twych srebrników nie przebolał straty!

RUBIN (*obejmując nogi Valeriusa*).

Sprzedaj ją panie!...

VALERIUS.

Rzekłem i nie sprzedam!

RUBIN.

Dziesięć ci dziewic do rana sprowadzę!

VALERIUS.

Przestań mnie nudzić! (*groźnie*)
Jeszcze dzierżę władzę!

RUBIN.

Ty nie wiesz panie — ona cię naraża
Na rzecz okropną! Wszakże jej Jonatan
Ciężką ma rękę!...

VALERIUS.

Czyż on mi zagraża?!

RUBIN.

Więcejby tobie nie groził sam szatan!
Valerius Gratus z jego ręki zginie!

VALERIUS (*wskazując ręką klepsydrę*).

Spojrz Magdaleno, spojrz i ty Rubinie —
Zanim się piasek przesypie w klepsydrze,
Valerius życie z jego piersi wydrze!!

MAGDALENA.

Ach!... ach!...

VALERIUS (*uderza w dłonie*).

SCENA 8. CIŻ i MAREK.

VALERIUS.

Mój Marku!...

MAREK.

Co rozkażesz panie?

VALERIUS (*wskazując Rubina*).

Ten mi się wdarł tu — ty oddaj go straży...

RUBIN (*klękając*).

Daruj mi... przebacz...

MAREK.

Zaraz tak się stanie.

VALERIUS.

Niech na gościnność naszą się nie skarży,
Zamknąć go w lochu do księżyca nowiu,
Potem ochłostać i puścić go w zdrowiu.
Co do drugiego... nim zorze różowe
Zabarwią niebo — dasz mi jego głowę,
Jest to...

MAGDALENA.

Ach panie!... zaczekaj z rozkazem!!

VALERIUS (*po krótkim namyśle*).

Dobrze zaczekam — choć grozisz żelazem.
(*Marek wyprowadza drżącego Rubina*).

SCENA 9. VALERIUS i MAGDALENA.

MAGDALENA (*składając ręce*).

O panie przestań moją duszę smagać,
Ja ci się będę modlić nieudolnie
O jego życie!... Ja będę cię błagać...

VALERIUS.

Za taką łaskę pragnę mieć nagrodę,
Pragnę mieć ciebie — twoje ciało młode
Na wspólną rozkosz dane dobrowolnie!

Inaczej choćbyś wypłakała oczy,
Głowa się jego u nóg twych potoczy!

MAGDALENA (*stoi przez chwilę w milczeniu — znać po niej, że przechodzi okrutną walkę wewnętrzną — nóż kurczowo ściska w dłoni; jest chwila, w której kieruje go w pierś swoją i znowu jej ręka opada — potem postępuje naprzód sceny i mówi przerywanym i przez łzy zdławionym głosem*).

Zapada na mnie trumny ciężkie wieko,
Wkrótce noc czarna, czarne cienie rzuci, —
A szczęście moje?!... och! — jakże daleko!...
Było i zgasło!... i... nigdy nie wróci!...
Nigdy, ach nigdy!... okropne to słowa!...
W nich nieskończoność,
w nich wieczność się chowa!!
I tam me szczęście?!... tam po szczęściu żale
Cicho w grobowej skamienieją skale!...
(*po krótkiem milczeniu*)
Okupię twoje życie Jonatanie
Mojej miłości serdeczną ofiarą!...
Sama... odejdę... pogardzoną marą...
Na wieczne płacze... na wieczne konanie...
W okrutną otchłań otwartego piekła!!
(*odrzuca nóż i zwracając się ku Valeriusowi*)
A zatem... masz mnie... jestem twoją panie!

VALERIUS (*rozpromieniony porywa ją wpół unosi i kładzie na łożu*)

Niechże tak będzie, jakoś sama rzekła!

(*zasłona spada*).

ODSŁONA DRUGA.

(Inna sala w ratuszu, w głębi arkada o trzech otwartych wejściach, przez które widać stojących w szeregu rzymskich żołnierzy. Po prawej szereg szerokich okien, po lewej od arkad drzwi do dalszych komnat, bliżej ku przodowi sceny wzniesienie, na którem znajduje się jeszcze dwa stopnie i na nich duży purpurą zaścielony fotel. Wzniesienie i stopnie pokrywają kobierce. Na wzniesieniu stoją oficerowie i dostojnicy rzymscy, na fotelu wsparty o poręcz siedzi Piłat z Pontu. W sali wiele osób w barwnych strojach — na ich czele naprzeciw Piłata stoi Kaifasz, Annanasz i Ezechel).

SCENA 10. PIŁAT, KAIFASZ, ANNANASZ i EZECHEL.

KAIFASZ.

Witając ciebie ze serca ci życzym,
Abyś w urzędzie twoim namiestniczym
Znalazł w tym kraju na tej naszej ziemi
Zadowolenie i spokoju dary!

ANNANASZ.

My z naszej strony poniesiem ofiary,
By rząd twój wspierać wpływami naszemi —
A prosim tylko, byś zechciał nawzajem
Wpływ nasz kapłański utrzymać nad krajem!

EZECHEL (*wskazując kolejno na Kaifasza i Annanasza*).

Słowom Kaifasza, niemniej Annanasza
W treści ich pewnych potrzeba wyjaśnień.
Prastarą wiarą stoi ziemia nasza,
Lud ją na szczęście w wielkiej ma estymie,
Tymczasem teraz zjawił się ślad zwaśnień...

PIŁAT.

Tak, coś wiem o tem — mówiono mi w Rzymie...

EZECHEL.

Jeden je człowiek — Syn cieśli — nic więcej
Poruszył w masach spokojnego ludu, —
I przyznać trzeba, że dokonał cudu,
Skoro swym wpływem tak wiele tysięcy
Samych nędzarzy opanować zdołał!
Swoją naukę ujął w pewne normy
Uczniów zgromadził, lud do niej powołał,
I począł dzieło społecznej reformy
Od nadawania ludziom bez znaczenia
Prawa do bytu porówni z innymi!
Hasłem: że mają żyć równi z równymi
Tłumaczyć można objaw powodzenia
Głoszonych zasad!

KAIFASZ.

A gdy on uparcie
Raz wytkniętego trzyma się kierunku
Może z łatwością nastąpić i starcie!
Gdy lud zgłodniały, wskutek tych podżegań
W istną pustynię zamieni kraj żyzny,
Wtedy zapóźno myśleć o ratunku.

ANNANASZ.

To właśnie powód tych naszych nalegań, —
O bezpieczeństwo idzie nam ojczyzny!

PIŁAT (*wskazując ręką szereg żołnierzy*).

Możecie całkiem spokojni być o nią, —
Pretorya stoi gotowa pod bronią!

Dopóki jednak jakiś spór się toczy
Na tle waszego kultu i wyznania,
Władza — nie mając w tem swego zadania —
Zostanie bierną i wcale nie wkroczy!

EZECHEL.

Otóż to właśnie — owa propaganda
Niskie instynkty budzi w szarym tłumie,
Zrewoltowana ciemnych ludzi banda
Mimo ciemnoty przecież to zrozumie,
Że z praw nadaniem przyjdzie i użycie!
Dziś jeszcze sprawa rozwija się skrycie,
Lecz któż przewidzi, czyli jutro może
Plebs podniecony, nie zważając na nic,
Świata całego nie wyzwie na noże!
Któż to przewidzi, czy sił zrozumienie —
Rewolty owej, która tu się szerzy
Na zewnątrz z naszych nie przerzuci granic,
Czy ona z Rzymem kiedyś się nie zmierzy?!
Któż to przewidzi, czyli jej płomienie,
Które pożogę szerzą teraz na dnie,
Nie zniosą prawa?! Czyli nam intruzy
Praw nie narzucą, gdy władza upadnie,
I czyli Rzym się nie rozsypie w gruzy?!
(*Piłat początkowo słucha uważnie, kiedy Ezechel wspomina pierwszy raz o Rzymie, uśmiecha się z politowaniem, po ostatnich jego słowach wybucha głośnym śmiechem*).

PIŁAT.

Bajeczny pomysł!! Zaiste bajeczny!!
(*p. k. m. bardzo wyniośle*)
Ty nie znasz Romy nawet z opowieści,

Ty nie wiesz o tem, że ten gród odwieczny
Potęgę świata w swoich murach mieści!!
I o tem nie wiesz, że Romy ramiona
Władają ziemią od końca do końca
Jak tylko długa i szeroka ona,
I o tem wreszcie, że Rzym w swym ogromie
Zachodzącego nie ogląda słońca!!

KAIFASZ.

To wszystko panie my wiemy o Romie,
Znamy jej siły...

· PIŁAT.

O — nie wiecie jeśli
Mniemać możecie, że ten wasz Syn cieśli,
Bezdomny prorok, przez swoje misterium
Zdołałby rzymskie obalić imperium!!

KAIFASZ.

Imperium mógłby sam Bóg tylko zburzyć!

PIŁAT (*z lekceważeniem i ironią*).

Bóg i bogowie za słabi są na to!

EZECHEL.

Chciałem ci panie szczerą radą służyć...

PIŁAT (*jak wyżej*).

Niech wdzięczność moja będzie ci zapłatą!

EZECHEL.

Lękam się bardzo, by z umysłów wrzenia
Nie było następstw bolesnych niezmiernie.

Może twa dobroć tego nie docenia,
Lecz ja ci szczerze przedstawiam i wiernie —
Nie dla wzniecenia czczych obaw i strachów,
Że kraj widownią stać się może wojny,
Zaburzeń wielu i krwawych zamachów —
Nawet na rzymskich dostojników może!

PIŁAT.

I o to bądź mi zupełnie spokojny, —
Mogę na karki nałożyć obroże
I kraj zczerwienić ludzkiej krwi czerwienią!

SCENA 11. CIŻ i VALERIUS.

(*Valerius w krótkiej tiunice zebrany do podróży*).

VALERIUS (*podając dłoń Piłatowi*).

Żegnaj Pontusie!,..

PIŁAT.

Opuszczasz mnie boski?!
Teraz już bogi losy nam zamienią, —
Jam wziął po tobie pieczęcie i woski
I togi w kwiaty haftowane złote,
I twoją nawet po Romie tęsknotę!

VALERIUS.

A ja po tobie całą serca radość,
Która dlań bogów wydaje się rosą —
Gdy morskie fale, czyniąc woli zadość,
Mnie do ojczyzny napowrót zaniosą.

(*ściskają się*).

PIŁAT.

Bogi cię dobrą darzą przepowiednią —
Gdy będziesz w Romie, uderz czołem przed nią
I ją odemnie pozdrów sercem całem!

(Po tych słowach Valerius odprowadzony ku arkadom przez Piłata wychodzi elastycznym krokiem, uśmiecha się rozradowany i kłania się w przechodzie obecnym na prawo i na lewo. Piłat powolnym krokiem wraca z pod arkad, poza któremi wojsko prezentuje broń przed przechodzącym Valeriusem. Piłat jakby w zamyśleniu zbliża się do wzniesienia, na które wstępuje z powagą. Zanim zdołał zasiąść na fotelu — za oknem powstają gwałtowne krzyki i hałasy. Piłat, stojąc przy fotelu słucha przez chwilę a w tym czasie obecni cisną się do okien. Ezechel, Kaifasz i Annanasz usiłują także dostać się do okien ale nie mogą. Marek stoi najbliżej okna, przez które spogląda na dół).

PIŁAT.

Co się tam stało?

MAREK *(nie odwracając się).*

Runął boskiem ciałem
O bruk ulicy!

PIŁAT *(podniesionym głosem).*

Kto taki?!

JEDEN Z RZYMIAN *(prawie równocześnie)*

Skrwawiony!..,

MAREK *(odwracając się ku Piłatowi).*

Valerius ranny!...
(Piłat szybko schodzi ze stopni, Marek patrząc mówi)

Daje znać ramiony...
Chwieje się znowu... blednie... i upada!!...
(*wybiega*)

PIŁAT.

Cóż to, czy zamach?!
(*do Ezechela*)
Czyżby twoja rada
Uzasadnione miała mieć podstawy?

EZECHEL (*z widocznem zadowoleniem*).

Jeśli to zamach, spraw panie sąd krwawy!

SCENA 12. CIŻ, MAREK, VALERIUS I ŻOŁNIERZE.

(*Żołnierze wnoszą na płaszczu Valeriusa — ten jest bardzo blady, pierś obnażona, widać w niej kłutą ranę, z której krew ścieka. Piłat wzruszony zbliża się doń i ujmuje go za rękę, inni grupują się blisko do koła).*

PIŁAT (*p. k. m. czule*).

Cóż się to stało?

VALERIUS (*słabym głosem*).

Pontusie!... morderca!...

MAREK (*podnosząc krótki miecz krwią zbroczony — do Piłata*.

Ot to żelazo utopił mu w ciele.

JEDEN Z RZYMIAN (*oglądając ranę*).

Zranił, lecz szczęściem nie trafił do serca;
Przecierpi trochę i za dni niewiele
Zdrowie mu wróci!

PIŁAT (*bardzo wzruszony*).

Nie przeżyłbym straty
Twojej mój druhu!...
(*składa pocałunek na czole Valeriusa — po chwili*)
Do mojej komnaty
Wnieście rannego — troskliwa opieka
Powrót do zdrowia niechaj mu zapewnia!

VALERIUS.

Twoją przyjaźnią... serce się... rozrzewnia...
I łzy... z ócz płyną!...
(*Żołnierze wynoszą Valeriusa — Piłat wstępuje na wzniesienie i zasiada we fotelu — chwila milczenia*).

PIŁAT.

Czy tego człowieka,
Który to zrobił schwytano w powrozy?!

MAREK.

Schwytano panie!
(*W tem miejscu Ezechel zbliża się do wzniesienia i staje obrócony twarzą do Piłata — tak, aby nie patrząc ku arkadom mógł wskazać prawą ręką na Jonatana przy słowach*: „*Tego zbrodniarza*“).

PIŁAT.

Niech go tu sprowadzą
Usłyszy wyrok niebywałej grozy!

SCENA 13. CIŻ, JONATAN I ŻOŁNIERZE.

(*Żołnierze wprowadzają skrępowanego Jonatana. Jonatan nie ma na sobie wierzchniego ubrania, koszula*

porwana i pokrwawiona, z odkrytą głową staje pod arkadami, gdy Ezechel mówi pierwsze słowa).

EZECHEL.

Masz panie siłę, bo kierujesz władzą
(*wskazując ręką Jonatana*)
Tego zbrodniarza ukarz bez...
(*spostrzega syna, zakrywa twarz rękoma, chwieje się i pada zemdlony na ręce rodaków z błagalnym okrzykiem*).

Litości!!...

JONATAN (*szybko zbliża się ku ojcu*).

PIŁAT.

Co mu się stało?

KAIFASZ.

Z woli Opatrzności —
To jego dziecko, to panie syn jego!

JONATAN.

Ojcze mój drogi!...
(*wszyscy prócz Kaifasza cucą Ezechela*).

PIŁAT (*do Kaifasza*).

Syn jego?... i zbójca?!...
To niepodobny widocznie do niego.

KAIFASZ.

Ha — niepodobny — różni się od ojca,
Ale ten ojciec bardzo nieszczęśliwy!
Życie mu dało same tylko ciernie!...

Bądź ty dla niego panie — litościwy
I ból ojcowski osądź miłosiernie!

JONATAN.

Ojcze!... mój ojcze!!...

EZECHEL (*ocucony łka przez chwilę*).

EZECHEL.

Ach Boże!... Mój Boże!!...
Syn mój przed sądem!

JONATAN.

Błagam cię w pokorze
Ojcze i panie — przez ten wiek mój młody,
Przez matki pamięć — zdejm twą klątwę ze mnie.
Niech choć przed zgonem moje serce zazna
Błogosławieństwa twojego osłody!
Niech zazna — zanim w nieprzejrzane ciemnie,
W milczenie śmierci pchnie mnie dłoń żelazna!...
Ojcze ja chwilę jeszcze z tobą bawię!...
A serce w twoje miłosierdzie wierzy...
Ty wiesz mój ojcze, że mi niebo dało
Wszystkiego dosyć... (*tłumiąc łkanie*)
lecz szczęścia tak mało!!...

EZECHEL (*łkając*).

O synu!... synu!...
(*Jonatan upada mu do nóg, Ezechel wznosi nad jego pochyloną głową obie drżące ręce*).

EZECHEL.

Ja... cię błogosławię!...
Synu... mój biedny!... (*chce go objąć*).

PIŁAT.

On do mnie należy!
(*do żołnierzy*)
Tu go przywiedźcie! (*do Jonatana*)
Co na twą obronę
Możesz powiedzieć?

JONATAN.

Jedno tylko zdanie,
Że on w mem sercu i w duszy mej panie
Rozpętał piekło pożogą czerwone.

MAREK.

Waleriusz zabrał jego niewolnicę.

SCENA 14. CIŻ I MAGDALENA.

(*Magdalena — szata czarna, biały szal narzucony na ramiona*).

MAGDALENA.

Jam jest nią panie.

JONATAN (*obrzuca ją pytającym wzrokiem, wpatruje się w jej twarz przez chwilę — jego oblicze wyraża miłość i rozrzewnienie*).

PIŁAT.

Dzieliłaś może jego tajemnicę?

MAREK.

Ona tam wcale nie była z nim przecie.

MAGDALENA.

Jam panie tylko tą duszą gołębią,
Tem sercem czystem już doń należała —

Bom ja go panie — kochała... kochała!...
Aleć są wichry i burze na świecie,
Co mrożą życie i tętno krwi ziębią,
Co łamią szczęście i niszczą nadzieje...
I miłość gaszą, choć serce wygrzeje
Kwiat jej przeczysty ciepła swego tchnieniem
Łzami go zrasza i złoci marzeniem!
Jam go kochała już nie tak jak życie,
Ale jak własną tę miłość dla niego —
I on mnie kochał — lecz wichrów tych wycie
Sama dziś nie wiem — skąd, poco, dlaczego
Zagrało przy nas — i gromów łoskoty
Anielskich marzeń przerwały sen złoty!...

ANNANASZ (*do Magdaleny*).

Ty nie wiesz jeszcze, że masz dzień sierocy —
I że na innych przepłaczesz go żalach,
Nie wiesz, że twoja...

MAGDALENA (*domyślając się*).

Matka?!!...

ANNANASZ (*potakując głową*).

Matka w nocy
Śmierć w Jordanowych odnalazła falach!

MAGDALENA.

Matka!... ach matka!!
(*zakrywa oczy, spazmatyczny płacz nią wstrząsa — dłuższa chwila milczenia, w której na twarzy Piłata maluje się współczucie*).

PIŁAT (*do Jonatana*).

Zatem poniewolnie
Zabrał niewiastę — i na tem rzecz cała
Urosła w zemstę, która młodość łamie
Patrycyusza?!

MAREK.

Ona dobrowolnie
Valeriuszowi sama się oddała.

JONATAN.

Kłamiesz nędzniku!!...

PIŁAT.

Obaczym, czy kłamie.
(*do Magdaleny*)
Ty na to moje odpowiedz pytanie,
Czyś dobrowolnie oddała się jemu,
Gdy ciebie zabrał do domu?

MAGDALENA.

Tak panie, —
Za życie...

JONATAN (*wybucha*).

Ty?!... Ty!! Ach czemuż!... ach czemu
Jeszcze grom taki!!?... O bądźcież przeklęci —
Wy, wy oboje!!... Ach jakże mi widna
Skalana piękność... naga i bezwstydna,
Kiedy ją zwija w swych skurczach rozpusta,
I śliną rozkosz wyślinia przez usta!!
Precz z mego serca! i precz z mej pamięci
Miłości mojej wydmuchana maro!

Dla ciebie tylko ja poległem w boju!
Dla ciebie maro!!

PIŁAT (*do Magdaleny*).

Ty odejdź w pokoju.

MAGDALENA (*przez łzy*).

Matka!... Jonatan!... i ja sama jedna...
I taka smutna... i tak strasznie biedna...
Tak opuszczona!... A przedemną droga
Bez gwiazd... bez nieba... bez ludzi... bez Boga!...
O Jonatanie!... sądziłam po tobie,
Że ty w pamiątek opuszczonym grobie
Zachowasz pamięć twojej Magdaleny...

JONATAN.

Pogardzam tobą, — gdy cię myśl powoła
Przed opuszczeniem padołu tej ziemi,
Będę cię usty przeklinał mojemi —
Ciebie, jak postać zwodniczej Syreny, —
Bo nierządnicę wziąłem za anioła!!

MAGDALENA.

Ach!... ach!... Jonatan!... I matka!... sieroctwo!...
Jak złe nademną spełnia się proroctwo!...
Tyś wczoraj bliski — dziś jesteś daleki
(*płacząc*)
Nie mój!!... Już nie mój!!...
Żegnaj mi na wieki!!...
(*wychodzi*)

SCENA 15. CIŻ bez MAGDALENY.

PIŁAT.

Wiedziałeś kto on?

JONATAN.

Wiedziałem dokładnie.

PIŁAT.

Więc rzymianina zabijałeś zdradnie, —
Patrycyusza! Dostojnika Romy!!

JONATAN.

Tak rzekłeś panie.

PIŁAT.

A więc bunt widomy!
W naszych pandektach rzecz stoi wyryta,
Że jeśli zbrodnia taka się wydarza
I przez sąd rzymski zostaje wykryta —
To sąd orzeka karę na zbrodniarza!

JONATAN.

Wiem o tem dobrze.

EZECHEL.

Nie sądź go z pospiechem
Pod pierwszem czynu krwawego wrażeniem!
Miej wzgląd na młodość... na to, że cierpieniem
Popchnięty został...

PIŁAT.

Fakt donośnem echem
Przebiegnie kraj ten, odezwie się w Rzymie.
(*wskazując ręką na drzwi komnaty*)
Tam z śmiercią walczy zbrodni tej ofiara —
Za wielką zbrodnię jest i sroga kara —
Jedna, jedyna — a śmierć jej na imię!!

EZECHEL (*łka głośno*).

PIŁAT.

On podniósł rękę na majestat Rzymu!...
W patrycyusza dostojnej osobie
Rzym mieszka cały!... Czyż bezprawie robię?
Mam mu dać wolność? Czy zdrowie, lub czy mu
Nagrodę przyznać za to, że z pod miecza
I jego ręki trysła krew człowiecza —
Patrycyusza i krew rzymianina?!
Zaiste wielka, bezmierna to wina!
Kto w zaślepieniu Rzymowi ubliża,
Ten przygwożdżony zostaje do krzyża!

EZECHEL.

O panie!... panie!... Jeśli choć w iskierce
Tleje w twem sercu litości uczucie —
Wejdź w duszę moją! wejdź w to moje serce!

PIŁAT.

Wszak Rzym obraził w swej złości i bucie...

EZECHEL (*przerywa — rozpacznie*).

Ach myśli moich wiry rozburzone!...
O spojrz ty na te łzy me przerażone!
Na ból mój!!... ból mój!... Toć jedyne dziecię
Zbłąkane moje!!... Ty daruj mu życie!!...

KAIFASZ.

O daruj mu panie!

EZECHEL.

O daruj mu, daruj!
Dla ojca cierpień i ojca boleści!!

PIŁAT.

Ty jękiem serca — serca mi nie czaruj,
Litość się w jego zbrodni nie pomieści!

EZECHEL.

Życie mu daruj! Zaklinam cię! Błagam!
Lub jeśli życia potrzeba ofiary,
Weź mnie za niego... (*łka*).

PIŁAT (*do siebie*).

Biedny!

KAIFASZ.

Biedny stary!

EZECHEL.

Walczę z tem życiem, ciągle się z niem zmagam
Nic mi już po niem!

JONATAN.

Ach ojcze a moje
Życie na ziemi — cóż teraz już warte,
Ze złudzeń nawet wszelakich odarte?!
O nie broń, nie broń! Niech ból mój ukoję
Niech go wyniosę daleko, w zaświaty,
Gdzie opłakiwać nie będę mej straty!

EZECHEL (*do Piłata*).

Zbolałe serce niech ci wszystko powie —
(*upapając na kolana*)
W prochu się tarzam — jam winien tej zbrodni!
Nietylko dzieci, lecz także ojcowie
Na ziemi czasem bywają wyrodni!...

Na krzyż go nie sądź, zostaw krzyż innemu,
Zostaw o panie komuś godniejszemu!
Mnie winowajcę osadź tu w tych murach,
Żywcem mnie zakop w świeżej grobu jamie,
Albo mnie zamęcz, zamęcz na torturach!

JONATAN.

Ojcze! ach ojcze!!

EZECHEL.

O panie litości!...

PIŁAT (*po namyśle*).

Daruję życie. — Niech mu kat wyłamie
W młodzieńczem ciele młode jego kości.
(*Żołnierze obstępują Jonatana, kat podchodzi ku niemu i zarzuca pętlicę na jego szyję — Jonatan trupio blady zwraca się ku ojcu — Ezechel popada w omdlenie*).

Zasłona spada.

AKT III.

ODSŁONA PIERWSZA.

(Scena urządzona jak w drugiej odsłonie I-go aktu).

SCENA 1. EZECHEL sam

(blady stoi pod oknem, oparty o jego ramę).

EZECHEL.

Aron nie wraca... czyliż mu się uda
Dla mych projektów pozyskać myśl kata?!
(p. k. m. wznosząc błagalnie ręce i oczy ku niebu)
O Ty Jehowo! który czynisz cuda,
Który kierujesz sam sprawami świata
I gwiazdy wodzisz po błękitów morzu —
Ty jeden Panie znasz wszechwiedzy siłą
Najskrytsze serca ludzkiego tajniki!
Ty jeden Panie wiesz wszystko jak było —
Wiesz, żem powinien na męczeńskiem łożu
Ostatnie wydać boleści okrzyki!!
Ty wiesz o Panie, żem ja nieszczęść sprawca,
Że moją duszę obciążają winy, —
Niech więc się na mnie ten wyrok dokona,
Niech moje kości wyłamie oprawca, —
Choć ludzie sądzą skutki, nie przyczyny!
Tyś Sprawiedliwość przecie nieomylna

W wszechwiedzy Twojej myśli zespolona!
Tyś Miłosierdzie! Moc sama! Władanie
Nieprzeliczonych jasnych gwiazd obrotem —
Ty!... Ty Jehowo!... Ty jeden o Panie,
Którego ręka piorunami silna,
Przeraża ziemię piorunowym grzmotem,
Ty Panie skrusz mnie!!...
Skrusz ojca za syna!!...
(*po chwili*)
O Wielki Boże! Nadziejo jedyna!
Mocy, sądząca ludzi miłosiernie!
Ty wiesz, że szczerze służyłem i wiernie
Przez życie całe Twemu Imieniowi!!
I teraz Panie, gdy prorok fałszywy
Zapewnił lud twój, iż zakon odnowi,
Jam się najpierwszy Panie litościwy
Ujął za krzywdy Twego Majestatu!
Jam to wystąpił pierwszy wobec światu
Przeciwko jego nauce i zdradzie!
Ja klątwą dziecka — która mi rozdarła
Zbolałe serce — broniłem Cię Panie!!...
A potem Panie, gdy już dusza zmarła,
Gdy już przebyła to straszne konanie —
Jam pierwszy żądał na najwyższej radzie,
Aby wydano wyrok na bluźniercę!!...
O Panie! Panie!! Ty znasz moje serce,
Głośno w mej piersi bijące jak w spiżu —
Ty wiesz, że prorok ma skonać na krzyżu!
Żem mu do krzyża utorował drogę!!
I mogęż teraz zatracić nadzieje —
I w łaskę Twoją czyliż zwątpić mogę?!
Mogęż przypuszczać, że Twa dobroć Panie
Dla mnie jednego, jak dym się rozwieje?!

SCENA 2. EZECHEL i ARON.

EZECHEL (*spostrzegłszy przystającego w progu Arona*). Aron!... Ach Aron!!...

ARON (*opuszcza głowę i bezradnie rozkłada ręce*).
Daremne staranie!...

EZECHEL (*przerażony — p. k. m.*).
Ha!... o!... Adonaj!!...

ARON.
(*p. k. m.*)

Kat się sądu lęka —
Lęka się tego, by z takiej zamiany
Jego okrutna nie dotknęła ręka!
O biedny ojcze — los twój opłakany!...
No — cicho... cicho... Nie płacz tą rozpaczą,
Niech oczy twoje oschną z łez potoków,
Niech patrzą na to, co wkrótce zobaczą —
Na dzieło ludzkich sądów i wyroków!
Niech uszy twoje przywykną do jęków,
Które mu z piersi wydzierać się będą,
Niech zmysły twoje w tej losów kolei
Na wielką siłę i moc się zdobędą,
By nie stężały od cierpień i lęków,
Gdy żadnej więcej już nie ma nadziei!

EZECHEL (*łka cicho*).

ARON (*po chwili*).
Byłem tam panie, sam byłem wśród prochów
Dawno pomarłych więźniów i skazańców —
Byłem, gdy kat ów przy świetle kagańców
W swej krwawej sukni wstępywał do lochów.

Błagałem panie, by wziął twoje zdrowie
Za zdrowie dziecka, lecz mi odrzekł na to,
Że żadną miarą, za żadną zapłatą,
Żądaniu temu zadość nie uczyni.
Cóż było robić; — po jego odmowie
Wiedziałem dobrze, że choć srebra w skrzyni
U ciebie wiele — to niem nie wykupię
Od tej katuszy twojego dziecięcia!...
Drzwi się otwarły — w twarz moją wionęły
Z lochów niemiłe, stęchłe chłody skalne —
Patrzę do wnętrza — widzę lica trupie —
On na tapczanie, a u kolan zgjęcia
I u rąk jego gniotą go powrozy,
Które w młodzieńcze ciało się wcisnęły!...
Widok był straszny... straszny... pełen grozy!
Obrócił na mnie oczy swe błagalne
Niewypłakaną łez świecące rosą —
On myślał biedak, że z domowych progów
Pomoc mu jakąś, lub ratunek niosą...
Lecz kiedy przy mnie dostrzegł kata jeszcze,
Zimne wstrząsnęły jego ciałem dreszcze
I szepnął mdlejąc: „zabij mnie Aronie".
. . . .
Wziąłem skrwawioną dłoń kata w me dłonie
I jąłem prosić, zaklinać na bogów,
By przy swem dziele oszczędzał to życie,
Które w bolesnych snów zapadło śnicie!

(p. k. m.)

Jonatan omdlał z przerażenia sądzę —
Wręczyłem wówczas katowi pieniądze; —
Zważył na ręce wagę twego srebra
I przyrzekł, że mu zostawi kość mlecza —
I że nie wszystkie wyłamie mu żebra. —

Jednakże temu wcale nie zaprzecza,
Że twoje dziecko po oprawcy dłoni
Na całun śmierci rychło głowę skłoni!
. . . .
Gdym to usłyszał zmarła we mnie dusza —
I serce zmilkło boleścią ścierpnięte...
Kat doń przystąpił... ja z lochów ratusza
Biegłem na oślep aż pod mury święte,
Aby w pierś wchłonąć lepsze przepowiednie,
I za nie kornie uniżyć się Panu!...
(*po chwili*)
Potem poszedłem — tak prawie bezwiednie —
Hen tam daleko, nad brzegi Jordanu,
I przystanąłem przy pustej dziś chacie,
Gdzie w księżycowej niedawno poświacie
Młody Jonatan marzenia snuł złote!...

EZECHEL (*z jękiem*).

Zatracił ojców uświęconą cnotę!...
A ja mu życie złamałem pochopnie —
I dziś przechodząc wszystkich cierpień stopnie,
Sam konam z bolu!...

ARON (*który był spojrzał w okno*).

Ach ucisz się panie —
Widzę już niosą całunem nakryte
Żyjące zwłoki!...

EZECHEL (*postępuje ku drzwiom chwiejnym krokiem — spostrzegłszy mary*)

Ach mój męczenniku!
Biedny nędzarzu!... takież powitanie
W domowych progach czekało na ciebie!?
(*Załamuje ręce i staje na uboczu płacząc. Aron z początku obok niego. Jonatan trupio blady leży na no-*

szach ze zwieszoną głową, przykryty po szyję kirem, pod którego nierównością kryją się sterczące drzazgi połamanych kości. Oczy zapadłe i zamknięte, usta sine, twarz wyraża najwyższe cierpienie. Od czasu do czasu wydobywa się z jego piersi głuchy jęk i kaszel urywany krótki — taki, jakim się objawia ostre zapalenie płuc).

SCENA 3. EZECHEL, ARON, JONATAN i DWAJ SŁUDZY.

PIERWSZY SŁUGA (*do Ezechela*).

Omdlały panie...

DRUGI SŁUGA.

Życie w nim zabite.

PIERWSZY SŁUGA (*do drugiego, opuszczając nosze na podłogę*).

Wolno!... ostrożnie!... on ma ran bez liku...
(*do Ezechela*)
Nie płaczcie panie!... Może przyjść do siebie,
Jeśli Bóg zechce.

ARON (*cuci Jonatana przez chwilę*).

JONATAN.

Ach!... wody!...

ARON (*podaje wodę, którą Jonatan z trudnością przełyka*).

EZECHEL.

Bie... daku!...

JONATAN (*kilkakrotnie usiłuje odkaszlnąć — usta zaczerwieniają się wybiegłą krwią, Aron ociera*).

ARON (*półgłosem*).

Płuca drzazgami żeber poranione...

PIERWSZY SŁUGA.

Poczem to poznać?...

ARON.

A ot, po tym znaku!
(*pokazuje mu krew na chustce*).

EZECHEL (*do siebie*).

Ach dziecię, dziecię — czemuś ty stracone?!

JONATAN (*zwolna otwiera oczy, chwilę nieprzytomnie wodzi niemi po komnacie i obecnych*).

A gdzież mój ojciec?...

EZECHEL.

Jestem Jonatanie!

JONATAN (*wpatruje się w jego twarz z widocznem skupieniem*).

ARON.

On nieprzytomny — nie poznał cię panie.

JONATAN (*do ojca*).

Rękę mi do ust przybliż... przytknij rękę...
(*kaszel, krew, j. w.*).

EZECHEL (*po uspokojeniu Jonatana*).

Co chciałeś synu?...

JONATAN.

Złożyć pocałunek!...

EZECHEL.

Mój ty!... Jedyny!...

JONATAN.

Zanim skończę mękę,
Chcę cię pożegnać... A blizkoż śmierć — blizko...
Jedyny dla mnie spokój i ratunek!...
(*wskazując na siebie oczyma*)
Tu... w piersi... płonie... boleści ognisko...
Serce kołacze... niby ptak schwytany...
Rany mam w ciele...
i w duszy mam rany!...
(*po chwili*)
O przyjdź ty śmierci!...
przyjdź ty bladolica
Lekarko ludzkich bolów niezmożonych...
Przyjdź ty królowo wiecznego milczenia!...
Niech mnie pokryje twych snów tajemnica...
Cień twoich skrzydeł do lotu wzniesionych
Niech padnie na mnie!...
na moje cierpienia...
Na oczy moje — te niewypłakane...
I na to życie... przed czasem stargane...

EZECHEL.

Synu najmilszy!... dla ojca żyj przecie...
Ty najbiedniejszy synu mój najdroższy!

JONATAN.

Nie mógł być wyrok straszniejszy i sroższy!
Zabrali życie — zostało... konanie!...

EZECHEL.

Cierpisz okropnie!?

JONATAN.

Ach źle mi na świecie!...
Rąk i nóg nie mam...

EZECHEL.

Ach mój Jonatanie!...

JONATAN (*słabnącym głosem*).

Piersi zgniecione!...
(*Mdleje — Aron i słudzy go cucą, Ezechel odkrywa całun — widać ręce i nogi obnażone, złamane i pozginane — przez mięśnie i rozdartą skórę mocno pokrwawioną — sterczą krwawe drzazgi kostne*).

EZECHEL (*rozdzierający okrzyk przerażenia*).

Aaach!!...
(*Zatacza się, mdleje, słudzy go cucą, Aron cuci Jonatana — po chwili*).

EZECHEL.

Ach karo moja!...

JONATAN.

Wody!
(*kaszle, krew, j. w.*)
Ach!... krew płynie!...

PIERWSZY SŁUGA.

Patrz panie, życie już gaśnie w twym synie.

EZECHEL.

Cóż ja nieszczęsny pocznę w mej niedoli?!...
Mój Jonatanie najmilszy!...

JONATAN.

Och!... boli!...
(*p. k. m.*)
I dusza boli... (*po chwili*)
A młodość wiośniana!?
Blaski księżyca, a kwiaty, a róże?!
A mej miłości jutrzenka różana?!
I ciche szepty... i gwiazdy tam w górze...
I ona!... ona!... tak bardzo kochana —
Potem... ha! Potem — pioruny i burze
I ojca klątwa!... i dola strzaskana!
I on — poganin, — i rzymscy żołnierze,
I kat... kat krwawy — a dziki jak zwierzę!!
(*kaszel*, *krew*, *j. w.*)

EZECHEL.

Mój Boże!...

ARON.

Panie!...

JONATAN (*tracąc zupełnie przytomność*).

Wy cicho tam bądźcie!...
Cicho... słuchajcie!... ktoś płacze... ktoś szlocha!
To ona płacze!... To ona, — bo kocha!...
(*po chwili*)
Chodźcie tu do mnie...
Tu przy mnie usiądźcie...
Bliżej,.. tu bliżej... — na łoża poręczy!...

Pusty śmiech zbiera!...
Ot słońce!... błękity!...
I lazur nieba gwiazdami nabity!...
Cicho, — słyszycie... jak w dali gdzieś jęczy
Dziwny głos jakiś?... (*wsłuchuje się*)
To struna harfiana
Jęczy i rwie się!... Ach! struna zerwana,
Jakąś złą dłonią, złą myślą, złą wolą —
Zmilkła na zawsze!...
Hej doloż ty dolo!...
Niebo gdzież twoje?!...
gdzie barwy twej tęczy?!...
Żywot, czy wszystek już teraz przeżyty?!
Słońce!... ach słońce!...
ach złote promienie —
Wszystko to znikło!... lazury, błękity,
Tęcza i gwiazdy... (*z ogromnym żalem*)
zostały chmur cienie —
I łzy zostały... łzy same, co bolą!...
Płyną łzy ciche, milczące dla świata,
Płyną we wstydzie...
wstyd duszę przygniata...
(*przerażający krzyk*)
Boże!! kat idzie!!... (*następuje jęk*)
a-a a! — łamie mi kości!...
I... drzazgi żeber... na serce mi tłoczy!...
(*błagalnie do Ezechela*)
Dobij mnie ojcze!!... dobij mnie — litości!!
(*kaszel, krew, j. w. — omdlenie*).

EZECHEL.

(*który podczas ostatniego monologu stał ze spuszczoną głową i załamanemi rękoma nad marami*

syna — po jego omdleniu zwolna podnosi głowę i mówi głucho).

I na to patrzeć muszą moje oczy,
I takich jęków słuchać uszy moje?!
Dałem ci życie — i na co i po co?!
Byś piekło przeszedł
przed śmierci twej nocą,
Byś takie toczył rozpaczne z nią boje?!
(*porywa sztylet ze stołu*)
Ha!!... zgaszę cię synu!...
i siebie przy tobie!!...

ARON (*zasłaniając sobą Jonatana, chwyta Ezechela za rękę*).

Stój biedny panie! Czy nadto chcesz w grobie
Mękę przedłużyć tem ostrzem sztyletu?!
Słuchaj mnie panie, gdy błagam i proszę —
Zgódź ty się na to... (*zniżając głos*)
chodź do Nazaretu!

EZECHEL (*drgnął — zasłania się ręką*).

ARON.

My z tym nędzarzem zabierzem te nosze,
A może prorok, o którym świat głosi,
Że wiele cudów dokonać sam zdoła —
Śmierć mu spokojną u Boga wyprosi,
Może mu śmierci przywiedzie anioła!...

EZECHEL.

Nie kuś Aronie!...

ARON.

Przez litość o panie
Nad dzieckiem własnem!...
Spojrz w jego oblicze,
Jak na niem długie cierpienia konanie
Wyryło swoje znaki tajemnicze!
Chcesz że ty słyszeć jęki duszą rwące —
Przez dnie, tygodnie — może i miesiące?...
Czy chcesz, by płód twój krwią ci bluzgał w oczy?!
(*p. k. m.*)
Tę krew męczeńską, którą z ran swych toczy
Tyś mimowoli wypił z jego ciała!
Ty zażywałeś na dziecko sposobu,
Z którego wszystka niedola powstała!
Nie brońże teraz wstąpić mu do grobu
Po takiej ciężkiej męczarni i znoju!
Chodź do proroka! Prorok gdy spostrzeże,
Jakiej doznaje męki i katuszy —
Każe mu odejść ze świata w pokoju!

EZECHEL.

Nie wierzę w niego — nie wierzę, nie wierzę
I nie chcę syna gubić biednej duszy!
(*po chwili*)
Zresztą ten prorok musi wiedzieć o tem,
Że go w najwyższej potępiłem radzie!
Chociażbym teraz obsypał go złotem —
Uczucie zemsty stanie na zawadzie —
On mścić się będzie swą mocą czartową!
Nikt bowiem inny tylko ja mym wpływem
Przygotowałem jemu śmierć krzyżową!

ARON.

On się odznacza sercem litościwem.

EZECHEL.

Jam jest wróg jego!...

ARON.

Tyś panie się zaciął
A on miłuje swoich nieprzyjaciół
I ciebie także!...

JONATAN (*zrywa się — przerażający okrzyk*).

Ach ojcze!!... kat idzie!!...
(*ponowne omdlenie*).

ARON.

Słyszysz?! — Chodź panie!!...
(*Ezechel staje się biernym — Aron obserwując go spostrzega ten objaw — narzuca płaszcz na jego ramiona, daje znak sługom, którzy ostrożnie podnoszą mary i wychodzą z niemi*).

EZECHEL.

Więc i tej ohydzie
Poddać się muszę!?... (*po chwili*)
Ty mnie osądź Boże!...
Mnie tam nie wiedzie żadna myśl zdradziecka,
Jestem mu wrogiem — będę katem może,
Lecz tam pójść muszę... (*szlochając*)
pójść... po śmierć... dla dziecka!

(*zasłona spada*).

ODSŁONA DRUGA.

(Scena przedstawia bardzo obszerny pokój — w głębi dwa szerokie okna, pomiędzy któremi znajdują się szerokie oszklone podwoje. Po prawej bufet, za którym siedzi średniego wieku opasła gospodyni. Obok bufetu i po przeciwległej stronie kilka

rozstawionych parawanów — tu i ówdzie zydle i stoliki, przy których siedzą przeważnie młodzi mężczyźni, pomiędzy nimi kilku setników rzymskich. Na stołach dzbany i kubki. Pomiędzy stołami uwijają się bachantki w lekkich greckich strojach roznoszące napoje. Jedna z nich Flora siedzi na kolanach setnika i pije z nim wino. W tym czasie jak i wogóle do końca odsłony pary wychodzą, kryjąc się za parawanami lub stamtąd powracają. Na przodzie sceny od lewej tapczan kobiercem nakryty, na tapczanie Magdalena w pozycyi półleżącej, trzyma w rękach dwa małe dzbanki, którym się przygląda — obok niej siedzi Dawid, — przy tapczanie niski stolik, na którym dzban wina i kubki. Magdalena ma na sobie strój grecki, ciemny i ciemniejszy płaszcz narzucony na ramiona. Opodal dwie dziewczęta grają — jedna na arfie, druga na fletni. Jedna z bachantek tańczy i śpiewa, trzymając w lewej ręce bębenek z dzwonkami, o którego powierzchnię w takt uderza).

SCENA 4. MAGDALENA, DAWID, FLORA, ARISTES, JOEL, DZIEWCZĘTA i SETNICY.

BACHANTKA (*tańcząc — śpiewa*).

W całusie wielka moc,
W całusie ognia żar
Ty chłopcze poznasz sam
Całusa gdy ci dam!
Gdy zaczniesz słodycz pić
Z ust moich pić — i żyć
Odczujesz ognia żar
Kochania luby czar!
A czar ten życie zna,
Gdy weźmie nas w swą moc
To słodką rozkosz da
Obojgu nam w tę noc!

CHÓR POWTARZA.

To słodką rozkosz da
Obojgu nam w tę noc!

WSZYSCY.

Brawo! brawo!!... fora!!...

BACHANTKA.

Zmęczona już jestem.

ARISTES (*od stolika*).

Nie tyle tańcem, co strojem i gestem.

BACHANTKA.

Mówisz, jak gdybyś miał żądło w języku!

ARISTES (*do siedzącego z nim Joela*).

Zawsze gotowa do śpiewu i krzyku.

MAGDALENA (*do Dawida*).

Poco mi znosisz te drogie pachnidła?

DAWID.

Chcę ci przyjemność sprawić moja miła.

MAGDALENA.

A, tak... przyjemność! — To rzecz bardzo trudna.
(*kładzie dzbanuszki na stoliku*).

DAWID.

Tyś zawsze smutna!...

MAGDALENA.

Powiedz raczej — nudna.

DAWID.

Nie, — smutna jesteś...

MAGDALENA.

Bo ziemia mi zbrzydła,
A dobrą dla mnie ani dnia nie była.
(*W sali gwar — po chwili gdy się ucisza widać Florę żegnającą się ze swym kochankiem, który następnie wychodzi*).

FLORA.

Bądź zdrów mój chłopcze! Pamiętaj o Florze
I jutro także przyjdź tu o tej porze.

JOEL (*do Aristesa*).

Dziwię się tobie boski Aristesie!
Co cię właściwie tak często tu wabi?

ARISTES.

Ot widzisz — człowiek tak żyje, jak w lesie, —
Tu ludzkie bagno — słyszy się skrzek żabi,
Widzi się bujne kształty młodej Flory...
(*gwar zagłusza dalsze słowa — po dłuższej chwili*).

DAWID (*do Magdaleny*).

Co cię zapędzić mogło do tej nory?
Tyś tak urocza...

MAGDALENA (*z gorszkim uśmiechem*).

A cóżby — głód panie...
Świat skąpy bardzo jest zawsze dla cnoty,
Lecz hojnie płaci za duszy skalanie!...
(*gwar zagłusza dalszą ich rozmowę — po chwili*).

ARISTES.

I myśleć o tem już nie mam ochoty, —
Bo co to mówić — „artysta! artysta!“

I cóż mi po tem? — Chadzam bez sandałów,
W najlepszym razie w podartych okrutnie.
Ha — i cóż począć? To rzecz oczywista,
Że pchając żywot zawsze nieodmienny —
Niezmiernie ciężko i niezmiernie smutnie,
Troskać się muszę o ten chleb codzienny!
A kiedy troska aż do mózgu wżarta
Obsiędzie duszę — to dla ideałów
Miejsca już niema! Sztuka dyabła warta —
Nie znam jej więcej! Cóż ja temu winien?

JOEL.

Ależ Aristesie,
Tyś do wielkości jeszcze wzróść powinien!

ARISTES.

Ja się już zrastam...

JOEL.

Talent cię wyniesie...

ARISTES.

O-ho! przepadło! Duch się zaskorupia,
Talent głód stoczył. Po wielkiej męczarni
Została z niego sama bladość trupia,
Cień cienia tylko — a i to się zmarni!
Mimo to wielkim będę niezawodnie,
Nazwą mnie wielkim i chlubą narodu —
Ale po śmierci! Tymczasem swobodnie
Wolno mi przecie umrzeć sobie z głodu!
Potem pomniki będą, wieńce, mowy,
Którąś ulicę nazwą mem imieniem,
No, — i tak dalej!... Nie susz sobie głowy
Moim talentem i przyszłem znaczeniem.

JOEL.

Ty nic nie tworzysz — to źle mój artysto!

ARISTES.

Już wyprzątnąłem pracownię na czysto —
I teraz piję! Nie chcę już do licha
Na skrzydłach ducha latać po pod chmury.

JOEL.

Nikt przecie ciebie z tych wyżyn nie spycha.

ARISTES.

Ot — nieraz czuciem z głębin ducha snutem,
Wywołam piękno i zaklnę w marmury,
Nieraz powstaje pod ręką i dłutem
Coś, co jest moje, co się spaja w duszy.
Z moją istotą; — coś, co z grobów pleśni,
Z zapadłych wieków skamieniałej głuszy
Przemawia głosem niesłyszanej pieśni; —
Coś, co ożywa odrodzonem życiem,
Zlanem w takt jeden z mego serca biciem!
Kiedy powstanie rzecz taka, — to potem
Szarpią me serce drapieżne pazury, —
Wpadam we wściekłość — i żelaznym młotem.
W drzazgi rozbijam ożyłe marmury!

JOEL.

Szalony jesteś!

ARISTES.

Lepiej garnki lepić.
Jest grosz przynajmniej — i ma się co przepić!

JOEL.

Ogół cię ceni...

 7

ARISTES.

Plecie ci się, — plecie, —
Powiedz Joelu, kto tu w Nazarecie
Zna się na sztuce? Czy ona potrzebna?
Kto artystycznych może pragnąć wzruszeń? —
Ot, brać powszednia, — taka sobie chlebna,
Skora do silnych i nagłych poruszeń,
Gdy o zysk idzie, — lecz co im po sztuce,
Co w niej odnajdą — piękno?! Cóż po pięknie —
Kiedy z marmuru — a marmur nie zmięknie.
Nie będę tworzył! Bo powiedz sam na co?
Czyż na to patrzą, czyż pracę zapłacą?!
Ji... (*gest ręką*)
(*gwar na chwilę przerywa rozmowę*).

JOEL.

Ty Aristesie zejdź ze swego szczytu —
I próbój tworzyć coś lżejszego może —
Coś — jak to mówią — po prostu, dla zbytu; —
Co ci to szkodzi, — ja starań dołożę...

ARISTES.

U-hm, trafiłeś... Przed niedawnym czasem
(*wskazując Magdalenę*).
Wziąłem na model piękną Magdalenę.
Całe tygodnie prawie bez wytchnienia
Wywoływałem z zimnych brył kamienia
Wszystkich jej kształtów najwspanialsze cuda!
I przyszedł wreszcie — powiem ci nawiasem —
Skończony głupiec. Umówiwszy cenę,
Żądał bym zrobił nieco grubsze uda.

JOEL.

A ty co na to?

ARISTES.

Nic. Ręka uzbrojona
W młot bardzo ciężki znalazła się w górze,
Zawisła chwilę jak piorun we chmurze,
Potem runęła — a rzeźba z łoskotem
Padła strzaskana. Wściekłością i młotem
Skończyłem dzieło, chociaż sam tak chętnie
Karmiłem oczy jej kształtów widokiem!

JOEL.

Stwórz ją raz jeszcze — model masz pod bokiem.

ARISTES.

Nagość jej ciała w bryle odtworzona
Budziła zachwyt! Ot popatrz jak ona
W kształtach wygląda. —

JOEL (*po chwili obserwacyi*).

Wcale nie przeciętnie.
Szkoda, żeś zniszczył i dzieło i sprzęty!
(*gwar zagłusza dalszą rozmowę, głębią wchodzi kilkunasto-letni młodzieniec, który kolejno ogląda dziewczęta, skupiające się jak na okaz koło niego. Najdłużej wzrok zatrzymuje na Florze, następnie odwraca się i spostrzegłszy Magdalenę rozmawiającą z Dawidem — zbliża się nieco i przypatruje się jej uważnie*).

SCENA 5. CIŻ i RUBIN.

MŁODZIENIEC.

Ładny egzemplarz — szkoda, że zajęty —
(*obraca się na pięcie — rozmawia cicho z Florą i wręcza jej pieniądze*).

ARISTES (*który go od początku obserwował*).

Fiu... fiu!... kawaler taki jeszcze młody
A już urządza zakazane gody!...

MŁODZIENIEC (*obrażony*).

Czy wam opiekę nademną oddano?

ARISTES.

Mój kawalerze dojrzałeś za rano!

MŁODZIENIEC.

To w każdym razie tylko moja sprawa!...

ARISTES (*poważnie*).

Idź za parawan, bo Flora ciekawa.
(*ogólny śmiech po chwili*)
Naród mieć będzie z takich latarośli
Wielki pożytek — to rzecz oczywista —
Byleby tylko tak prędko dorośli
Jak dojrzewają.

MŁODZIENIEC (*w bezsilnej złości — do siebie*).

Waryat — nie artysta!

(*Ogólny gwar — młodzieniec po chwili wymyka się za parawan dając znaki Florze, która kręci się tu i owdzie — wreszcie wziąwszy dzban i kubki podąża za nim, starając się nie zwracać na siebie uwagi*).

SCENA 6. CIŻ i RUBIN.

(*Dawid pożegnawszy się z Magdaleną wychodzi, we drzwiach rozmija się z Rubinem, który wszedłszy rozgląda się po pokoju, ale nie dostrzega Magdaleny. Zwraca się do gospodyni, chwilę z nią rozmawia ta*

wskazuje mu Magdalenę. Rubin na jej widok drgnął — podchodzi do niej, Magdalena go nie widzi).

RUBIN.

Jesteś nareszcie...

MAGDALENA (*zrywa się — spogląda nań z przerażeniem*).

RUBIN (*po chwili*).

Znów masz piorun w oku!...

MAGDALENA.

Precz!... Precz odemnie!!

RUBIN.

Tyś już spadła na dno —
I szargasz ciało twoje po rynsztoku,
Ja jednak ciebie pożądam wciąż jeszcze!...
Teraz się siłą nie obronisz żadną,
Moc moich ramion raz ciebie przygarnie —
Tak, iak cię mojem ogarniam marzeniem!
Ja wzniecę w tobie płomienie i dreszcze,
Raz mi się poddasz, abym te męczarnie
Zagłuszył mojej rozkoszy skomleniem!

MAGDALENA.

Precz nienawistna, precz ty czarna maro!
Przez ciebie duszę mam teraz tak ciemną...

RUBIN.

Jawnogrzesznicą jesteś — zgrzeszże ze mną!...

MAGDALENA.

Jam twojej zemsty stała się ofiarą
I żądzy twojej!...

RUBIN.

To miłość o Magdem!
Miłość, co nawet na jawie mi śni się...

MAGDALENA.

Ach! Gdybym mogła przemienić te pięście
W giętkie i ostre pazury tygrysie —
Za mą anielskość, za życie, za szczęście,
Za śmierć mej matki i jego męczeństwo —
Jabym ci serce z tej piersi wydarła,
Aby na zawsze pozostała pusta!
Jabym wsączyła w to serce przekleństwo —
Takie, jak matce zalewało usta
Wtedy, gdy w nurtach chłodnej wody marła!!

RUBIN (*chcąc ująć ją za rękę — z uśmiechem*).

Cicho bądź Magdem, co zechcę — to zrobię!!

MAGDALENA.

Precz! Psu się oddam, lecz nie oddam tobie!
Nie chcę nędzniku, abym w tem oddaniu,
Wśród wiru uczuć i myśli zamętu,
W piekle rozkoszy i żądz rozpasaniu —
Choćby na chwilę pozbyła się wstrętu
Do ciebie marny, poniżony płazie!
Precz z moich oczu!!...

(*oddala się od Rubina i zbliża się do okna — gwar i rozmowy obecnych*).

RUBIN (*po dłuższej chwili — do siebie*).

Niczem jej nie kupię
Ani pozyskam... (*p. k. m.*) Ha — więc w takim razie,
Kiedy rozkoszy w żywej mieć nie mogę —
Znajdę ją sobie w stygnącym jej trupie
(*zbliża się do stolika przy tapczanie i do kubka dolewa wina — wsypuje trucizny a drugi kubek stawia na innym stole. W tym czasie powstaje gwar za sceną — początkowo niewyraźny, później coraz silniejszy*).

ARISTES (*nadsłuchując*).

Co to za głosy? (*po chwili wygląda przez okno*).
Całą niemal drogę
Pochód zajmuje!... Ludzie w zbitej masie!...
Tłum się posuwa,... chwieje się,... kolebie...
Rośnie,... rozszerza!... Prorok jest w tym tłumie, —
Prorok ubóstwa!... To prawie na czasie! —
Kiedy się myśli o codziennym chlebie,
A nędzę zbliska zna się i rozumie.
Dobrze usłyszeć takie dobre słowo,
Które nam ducha pokrzepia na nowo!
(*gwar za sceną — po dłuższej chwili*)
Popatrzcie tylko, jak tłum ciągle wzrasta,
Słyszycie, — szumi modlitwy pogwarem —
Zda się, że wszyscy ludzie wyszli z miasta!
(*po chwili*)
Ii — i ja zerwę z nawyknieniem starem —
Rzucę dzban pełny i ciebie Joelu
I pójdę za nim!
(*wstaje i zabiera się do wyjścia*).

JOEL.

Po co? — W jakim celu?

ARISTES.

Aby odnaleść coś także dla ducha. —
(*wychodzi, pozostawiając drzwi otwarte za sobą*).

JOEL.

Zaczekaj na mnie!... (*dopija wino*)
Idzie i nie słucha!
(*wychodzi za Aristesem — wszyscy cisną się do okien i stają w otwartych drzwiach. We drzwiach staje także Magdalena — tak jednak, aby była za innymi na scenie, w oknie po lewej od widzów podobnie jak Magdalena staje Rubin — w oknie po prawej tak samo Flora. Przez drzwi i okna widać tłum posuwający się od prawej ku lewej — gwar trwa, po pewnym czasie ukazuje się na szybach światło — tak, jakby słoneczne, światło pada na postać Magdaleny, oświetla ją i zatrzymuje się na niej przez mgnienie oka*).

MAGDALENA.

Ach!... ach!... widziałam!...
Któż się oprzeć zdoła?!...
(*światło posuwa się dalej i pada na twarz Rubina, Rubin odskakuje od okna, trąc gwałtownie oczy*).

RUBIN.

Oo!!... co to było?!... okropność!... łzy cieką!...
(*światło biegnie dalej po szybach i niknie — tłum jeszcze przeciąga, z nim łączą się wszyscy, którzy byli na scenie — tak, że pozostaje Rubin, operujący koło swych oczu, Magdalena i Flora*).

SCENA 7. RUBIN, MAGDALENA i FLORA.

MAGDALENA (*do siebie*).

Postać nieziemska — Boga, czy anioła!

RUBIN (*do siebie*).

Płomień pozostał jakiś pod powieką —
Źrenice płoną!... Światła całe snopy!
W mózgu żar czuję — i w piersi się kryje
Jakieś przeczucie takie jak przedzgonne!
Co mi się stało?!... (*trze oczy*).

MAGDALENA (*zabiera dzbanuszki — do siebie*).

Te oleje wonne
Wezmę ze sobą, niemi mu obmyję
I łzami memi utrudzone stopy —
A te łzy moje, co wypłaczą oczy
Z nóg mu obetrę złotem mych warkoczy!
(*wychodzi*).

SCENA 8. RUBIN i FLORA.

RUBIN.

Gdzie Magdalena?!

FLORA.

Wyszła przed dom panie.

RUBIN.

Jakież bolesne to oczów konanie!...

FLORA (*zbliżywszy się, opiera rękę na jego ramieniu*).
Tyś chory może?

RUBIN.

Chory jestem, chory!
Światło mam w oczach, — ale nic nie widzę!

FLORA.

Przecie widziałeś dobrze do tej pory!
Urok padł na cię! — Zaczekaj tu panie,
Dam ci lek na to. —
(*wychodzi i po chwili wraca z dzbanuszkiem w ręce i białą chustą, chustkę skrapia*).

FLORA.

W Lotosu łodzydze
Sok jest kojący — przyłóż, ból ustanie!
(*po chwili*)
Chodź tu, (*pociągając go ku tapczanowi*).
tu usiądź (*sadza go na tapczanie*)
(*i podaje mu kubek z zatrutem winem do ust*)
i pokrzep się nieco.
(*Rubin wypija połowę — Flora drugą*).
Oczy ci blaskiem na nowo zaświęcą,
Gdy cię ogrzeję mego ciała ciepłem...
(*obejmuje go za szyję*).

RUBIN (*po chwili — wpatruje się z przerażeniem przed siebie i zrywa się z tapczanu*).

Ach!... ach!... Przekleństwo!...
To ja już oślepłem!!...

FLORA.

Uspokój się panie!...
(*Rubin łka — chwila milczenia, w czasie której oboje dostają dreszczów*).

RUBIN.

Zimno mnie zmraża!...

FLORA.

Dreszcz mnie przebiega!...

RUBIN.

Skurcz gardło mi zdławia!...

FLORA.

Twój ból mnie także tak samo zaraża!
Tych samych cierpień siła się objawia...
Duszę się... Dławię!...

RUBIN.

Ach — coś ty za jedna.

FLORA.

Sierota biedna... taka bardzo biedna,
Której na ziemi słońce nie świeciło!...

RUBIN (*po chwili*).

Co?! Czy to grobu owiało mnie tchnienie?
Czy śmierci po mnie nadchodzą już gońce?!

FLORA (*nieprzytomnie*).

Źle mi tu było... bardzo źle mi było...
Ostatnie gaśnie w pomroce marzenie,
Aby raz w życiu widzieć jasne słońce!...
(*po krótkiej chwili słania się i stacza się obok tapczanu na ziemię. Na łoskot wywołany upadkiem jej ciała, Rubin niewidomy wyciąga ręce przed siebie, zbliża się w jej kierunku bardzo chwiejnym krokiem, szuka jej chwilę a znalazłszy potrząsa za ramię*).

RUBIN (*zduszonym głosem*).

Co?!... co ty robisz?...

FLORA (*konając*).

Życie... życie... teram...

RUBIN (*z rozpaczonym wysiłkiem wstrząsa nią bezskutecznie*.

Wstań!... wstań!!... Mnie ratuj!...
ra... tuj... — bo — umieram!!...

(*zasłona spada*).

ODSŁONA OSTATNIA.

(Wolna okolica — tło jasnego słonecznego dnia, w głębi dom o płaskim dachu z portykiem i drzwiami, do których wiedzie kilka stopni. Po obu stronach drzwi — szerokie otwarte okna. Drzewa tu i owdzie obok domu — dalej widać szeroką płaszczyznę i jezioro. Na wodzie kołysze się łódź przytwierdzona na linie do brzegu — z łodzi zwieszają się i toną we wodzie nastawione sieci rybackie. Dom otacza i scenę zalega ogromny tłum ludzi, ścisk panuje. Do otwartych okien po stosach kamieni dostali się ludzie i słuchają widocznie nauki Chrystusowej, między nimi widać zasłuchanego Aristesa i obok niego Joela. W tłumie dom otaczającym są kobiety z dziećmi — tłum składa się z ludzi przeważnie ubogich. Na przodzie sceny stoi celnik z kilkonastoletnią córką, opodal Gemeilach z faryzeuszami, których odróżniają od tłumu bogate i bardzo dostatnie stroje. W chwili podniesienia kurtyny Magdalena ze spuszczoną głową obok nich przechodzi).

SCENA 9.

FARYZEUSZ I.

A,... A,... blondynka...

FARYZEUSZ II.

No przecież prorocy
Nie udzielają takim posłuchania.

GEMEILECH.

Dajcie jej pokój, — spracowana w nocy
Trochę pobladła.

FARYZEUSZ I.

Z nadmiaru kochania!
(*Magdalena przeciska się przez tłum ku drzwiom domu*).

FARYZEUSZ II.

O! w tłum się wciska.

FARYZEUSZ I. (*po chwili*).

Idzcie do proroka!

GEMEILECH (*do dwóch innych towarzyszy*).

Idźcie tam za nią!... Nie spuszczać jej z oka,
Będziecie wiedzieć, co jej prorok powie.
(*Wskazani faryzeusze przeciskają się przez tłum i docierają do Magdaleny, za którą o krok postępują, po chwili widać Magdalenę, wstępującą na wschody i za nią faryzeuszów. W tym czasie coraz nowe rzesze napływają na scenę, a w chwili gdy za Magdaleną i faryzeuszami zamykają się drzwi, od strony jeziora ukazuje się grupa ludzi. Dwaj słudzy niosą mary z omdlałym Jonatanem, za marami postępuje Ezechel podtrzymywany przez Arona*).

SCENA 10. CIŻ, EZECHEL, JONATAN i ADAM.

FARYZEUSZ I.

Patrz Gemeilechu — kaleki mu znoszą!

GEMEILECH,

To rzecz najgorsza! — Nie byłby prorokiem,
Gdyby nie moc zła, którą włada przecie!
(*wskazując na zbliżającą się grupę*)
Tacy to głównie jego sławę głoszą,
A ona echem rozbrzmiewa szerokiem —
Po całym kraju — i po całym świecie!
(*p. k. m. do towarzyszy*)
Lepiej przeszkadzać tym ludziom w pochodzie —
I nie dopuszczać kalek do zetknięcia
Z tym nowym królem! (*szyderczy śmiech*).

FARYZEUSZ I. (*do Arona i Ezechela*)

Nie szkodaż wam trudu?
Zdala idziecie ku chorego szkodzie
W nadziei pewnie, że z jego zaklęcia
Doznacie u nas niezwykłego cudu!
(*parska śmiechem, inni tak samo*).

GEMEILECH.

Ach ciemni ludzie! i głupi i prości!
Toż on nie prorok — znamy go — Syn cieśli —
Cóż wam pomoże?...
(*zbliża się do mar, podnosi całun, Jonatan równocześnie otwiera oczy*).

GEMEILECH.

Cha!.. cha!... cha!...
No i cóż wy chcecie,
Aby on może pospajał te kości?!...
(*ogólny głośny śmiech faryzeuszów*).

FARYZEUSZ I.

No jeśli z taką przyszliście nadzieją,
To skonać można ze śmiechu, — a jeśli...

JONATAN.

Czemuż ci ludzie z moich ran się śmieją?!

GEMEILICH.

Długo na cud ten zaczekać możecie...

EZECHEL.

Słyszysz Aronie?!...

ARON.

To źli ludzie panie!

JONATAN.

Wody!... ja ginę!... trawiony tym bólem!...

GEMEILICH.

Pocoście przyszli — na gorsze skaranie,
Czy aby tylko zapoznać się z królem!...
(*śmiech faryzeuszów*)
Bo on się mieni, czem kto chce na świecie —
Królem i władcą, nawet Bożym Synem!
I tem bluźnierstwem zawładnął nad gminem!
Wracajcie lepiej nic tu nie znajdziecie!

SCENA 11. CI SAMI i DWAJ FARYZEUSZE WRACAJĄ Z DOMU.

(*Widać ich wychodzących podczas ostatnich słów Jonatana, a przeciskających się przez tłum podczas przemówienia Gemeilecha*).

FARYZEUSZ I.

Tamci wracają!

JONATAN (*spojrzawszy błagalnie na ojca*).

Ojcze mój — ja muszę
Widzieć proroka!...

EZECHEL.

Słyszysz, co mi prawią —
A mnie wstyd pali i rani mi duszę —
Wstyd i ból razem — łzy mnie już zadławią!

ARON.

Panie, ty w posąg w tej chwili się zamień,
Nie słuchaj ludzi, ich mowy i śmiechu
Wytrwaj w milczeniu, choć ich słowa ranią!

GEMEILECH (*do wracających farazeuszów*).

Cóż wam powiedział?...

FARYZEUSZ III.

„Kto z was jest bez grzechu —
Niech weźmie kamień i niech rzuci na nią“.
To jego słowa!

GEMEILECH.

Ah — „niech rzuci kamień“ —
Otóż widzicie — fałsz mu bije z lica,
Fałsz mu przez usta jako jad przecieka —
Toż nie niewiasta, lecz jawnogrzesznica,
Wyzuta dawno z wszelkich praw człowieka!
(*do Ezechela*)
Wracajcie zdrowo z tym waszym kaleką —
Nic go tu przecie nie spotka dobrego —
Zdrowia nie znajdzie — rany go rozpieką —
Wracajcie prędko!

CELNIK (*który przez cały czas przysłuchiwał się perswazyom faryzeuszów i Gemeilecha*).

Skąd to wiesz? — dlaczego?

GEMEILECH.

Bo to nie prorok — bo to nie mąż święty
Ale bluźnierca!

CELNIK (*do Ezechela*).

Ty nie słuchaj panie
Jadu tej złości!

FARYZEUSZ I.

Wszak on nieprzerwanie
Bluźni przed ludźmi.

GEMEILECH.

Niech będzie przeklęty!

CELNIK (*do Ezechela*).

Patrz na nas — widzisz — to jedyne dziecię,
Które mi szczęściem na ziemi być miało —
Sercem ojcowskiem kochane jak życie!
Zaledwie tylko na ten świat spojrzało
I pierwszy uśmiech rozjaśnił mu lica —
Padło, jak pada kwiat podcięty kosą.
Zwiędło mu ciało, zbielały mu skronie,
Oczy zagasły — i zaszły łez rosą,
Na twarz jej wyszła cierpień tajemnica,
Takich okropnych, co to całe lata
Śmierć na uwięzi przytrzymują w łonie!
Przez lat dwanaście pośród tego świata,
Który radości miewał i wesela —

Jam tylko jeden nie miał chwil radosnych!
Krzyk w duszy miałem rozpaczą nabrzmiały,
Słuchałem lata jęków jej żałosnych, —
Które i serce i duszę mi rwały! —
Śmierć bym uważał był za przyjaciela,
Ale mi ona, choć krążyła blisko
W moje domowe nie weszła ognisko!
. . . .
W tem mówią ludzie, że prorok przybywa —
I tłumy wszędzie liczne się gromadzą,
A wszyscy — znając mych smutków przyczynę, —
Mówią, że przyszła godzina szczęśliwa —
I wszyscy naglą, i proszą i radzą,
Bym prorokowi pokazał dziecinę. —
Lecz nim zdołałem przygotować nosze,
Prorok się zbliżył ku memu domowi —
Tak myślę sobie, iż go w dom zaproszę
A on to sprawi — że albo mi zaśnie
Snem wiecznej ciszy — albo ją uzdrowi,
Jeżeli lek ma jakiś niezawodny. —
Wyszedłem przed dom —
On przechodził właśnie —
Rzekłem więc jemu: panie jam niegodny,
Ażebyś wstąpił pod dach mego domu,
Ale gdy rzekniesz jedno tylko słowo,
To uzdrowiona będzie córka moja! —
I patrz — nie tajno to przecie nikomu,
Że mi ją wrócił do życia na nowo!...

GEMEILECH (*z szyderczym uśmiechem*).

Rozczulająca ta opowieść twoja...
(*Śmiech faryzeuszów — zignorowany przez celnika*).

CELNIK.

On nam łzy otarł, dał szczęście stracone;
Wszak tylem cierpień wraz z tem dzieckiem przeżył!
(czule całuje dziecko, które się tuli do jego piersi)
A dziś już mamy bole ukojone!
(*zwracając się do Jonatana*)
I ty mieć będziesz — bylebyś uwierzył.
(*Faryzeusze z Gemeilechem rozstawiają się tak, aby przeszkodzić przeniesieniu Jonatana do domu*).

JONATAN.

Aronie!... nieś mnie!...

ARON.

Przepuście nas ludzie!...

FARYZEUSZ I.

Gdzież was puścimy?

FARYZEUSZ II.

Jakże chcesz w natłoku.
Przepchać te mary?

FARYZEUSZ III.

Przecież tam w tej budzie
Wyżej sta ludzi stoi przy proroku.
(*ścisk się zwiększa*).

GEMEILECH.

Idźcie stąd, idźcie — ludzie bez rozumu —
Przecie widzicie, że się nie przepchacie
Pośród pospólstwa stłoczonego tłumu!

FARYZEUSZ I. (*do Arona*).

Daremnie pchasz się z marami mój bracie!

JONATAN (*jęcząc*).

Jak strasznie cierpię!...

FARYZEUSZ II.

Pewnie nie bez winy!
Takie cierpienia są zbrodni zapłatą!

EZECHEL.

Boże! Mój Boże!
(*zakrywa oczy, łkanie jego i Jonatana*).

EZECHEL (*po chwili do siebie*).

Jeśli moc ma na to
Niechże mu cierpień ukróci godziny!
Śmierć go uleczy! Śmierć, która postrachem
Bywa dla ludzi, — dla nas szczęściem będzie!

JONATAN (*do Arona*).

Wnieś mnie tam!... wnieś mnie!...

ARON.

Pełno ludzi wszędzie!...

JONATAN.

Aronie!... możesz...

ARON.

Którędy?...

JONATAN.

Wnieś dachem!

(*Aron patrzy przez chwilę na dach domu, następnie daje znak sługom, którzy biorą mary i idą za Aronem, okrążając dom. Po dłuższej chwili ukazują się z marami na dachu — wyciągają sznury i spuszczają mary z Jonatanem do wnętrza. W chwili gdy mary nikną w głębi domu, ukazuje się w progu Magdalena, która powolnym krokiem, bardzo wzruszona, zstępuje ze schodów i przecisnąwszy się przez tłum, dostaje się naprzód sceny tuż przed grupę faryzeuszów. Aron i słudzy pozostają na dachu*).

EZECHEL (*zwrócony ku domowi — mówi jakby do siebie*):

Ludzie nazwali ciebie mężem świętym
I twoją sławę szeroko roznieśli
Za dokonane liczne uzdrowienia!
Masz moce jakieś — o ty... Synu cieśli...
Może zwołane sposobem przeklętym
Do twego ducha i twego ramienia!
Co bądź ci duszę taką mocą mroczy,
Cokolwiek moc tę ożywia na nowo —
Ty... ty... bluźniący gorzej niż bluźnierce,
Ściągnij twe ramie nad dziecięcia głową.
Niechaj mgła wieczna nakryje mu oczy
I niech na zawsze zmilknie jego serce!

(*spostrzega Magdalenę wydobywającą się ze ścisku*)

Ha!... Magdalena!...

(*odwraca się i opuszcza głowę na piersi*).

FARYZEUSZ I.

A — ha — ha, — blondynka!!
Jaka spłakana!!...

FARYZEUSZ II.

Jaka skromna minka!

GEMEILECH (*poważnie*).

Ot patrzcie, patrzcie! co ten prorok umie —
Jawnogrzesznice wynajduje w tłumie —
I on, on — człowiek odpuszcza im grzechy!
(*głośny śmiech faryzeuszów*).
Cichoż wy bądźcie, — niech ustaną śmiechy,
Bo rzecz straszliwa dzieje się w zakonie!
Bluźnierca w zakon wnosi rozdwojenie —
A nikt nie stanie w zakonu obronie,
Nikt nie przypomni, że Bóg ma płomienie,
Któremi ziemię spalić za to może,
Że jeden człowiek chce rządzić i w niebie
I zmieniać święte przykazania boże!
O ty bluźnierco! powstały z nicości —
Powróć znów w nicość — ja przeklinam ciebie!!

MAGDALENA.

O ludzie! ludzie! Za cóż tyle złości
I nienawiści ku niemu się zwraca?!
Czy za to, że wam niedoli dzień skraca?
Za to, że wasze pragnienia wam ziszcza?
Że grom oddala nad wami, gdy huczy?
Czy za to może, że serca oczyszcza,
Gdy świat je w swoim zanurza wciąż brudzie?
Że kochać uczył — i dotąd was uczy?
Za toż nienawiść?! Och ludzie! Och ludzie!!
(*Faryzeusze zawstydzeni jak winowajcy stoją przed Magdaleną ze spuszczonemi w dół głowami — dłuższa chwila milczenia*).

GEMEILECH.

Chodźmy stąd wszyscy — przecież nie wypada,
Byśmy słuchali pierwszej dziewki z brzegu!
A wam niewierni i bluźniercy biada!
Wam, którzy w jego stajecie szeregu!
(*wychodzą za Gemeilechem — po chwili w progu domu ukazuje się Jonatan, który niesie na ramionach złożone swoje nosze*).

SCENA 12. CIŻ i JONATAN BEZ FARYZEUSZÓW.

EZECHEL (*okrzyk ogromnej radości*).

Jonatan! syn mój!!...

JONATAN.

Ach ojcze mój drogi!...

CELNIK.

Widzisz! mówiłem! za nic wszystkie bogi.

EZECHEL.

Tyś uzdrowiony! Syn moj uzdrowiony!!

CELNIK.

Musiałeś wierzyć, — wierzyłeś jak wnoszę.

EZECHEL.

Jakżem szczęśliwy!

JONATAN

Niosę moje nosze!

EZECHEL.

Synu, mój synu!!

(*pada w objęcia Jonatana i drżąc od płaczu tuli się do jego piersi. Magdalena w tym czasie, stojąc niespostrzeżona na boku, składa ręce do modlitwy i wznosi wzrok do nieba — radość i rozrzewnienie znać po niej — chwilę trwa w modlitwie a następnie usuwa się i znika wśród drzew*).

ARON (*który zszedł z dachu ze sługami przypada do Jonatana oglądając go*).

Boże! cud spełniony!

EZECHEL (*ściskając Arona*).

Bratem mi jesteś!...

JONATAN.

Gdy do domu wnętrza
Zapadły ze mną mary całunowe, —
Czułem, że we mnie straszny ból się spiętrza,
Że jakieś rany otwiera mi nowe!
Podniosłem oczy i ujrzałem Jego,
Spoglądał na mnie jak ojciec na dziecię. —
Te smutne oczy o fiołków barwie
Wszystkich mych cierpień dały mi odbicie!
W nich łzy świeciły! Ojcze — łzy przejrzyste,
A takie jasne... tak drogie... tak czyste!...

. . . .

W tem z kąta izby przypełznął do Niego
Jakiś zły człowiek. Twarz ukryta w larwie
Wiary skrupułów — jak u innych wielu!
Larwą swe myśli ukryte zamazał,
Żeby go nie mógł nikt o złość obwinić —

I rzekł: „a jakoż dziś Nauczycielu
Będziesz niósł pomoc schorzałemu bratu?
Dziś się nie godzi podejmywać znoju,
Bo dziś jest przecie święty dzień sabbatu“.
A on mu odrzekł: „żali Bóg zakazał
Dobrze w dzień święty swemu bratu czynić?“
A do mnie rzekł On: „wstań, weź nosze twoje
I odejdź synu do domu w pokoju!“...
Wstałem i jestem — jestem odrodzony,
Byłbym szczęśliwy z łaski mego Pana,
Gdyby nie sen mój, — pierwszy sen prześniony,
Który mi prysnął jak bańka mydlana,
I serce smutkiem przebolałym smuci;
Wszystko wróciło — a tamto nie wróci!

ARON (*do Ezechela*).

Co wam się stało? Co wam jest mój panie?!

EZECHEL.

Serce drży we mnie... i dusza się trwoży!...

JONATAN.

Czegoż mój ojcze?

EZECHEL.

Ach — bo Jonatanie —
To nie syn cieśli — ale to Syn Boży
A ja mu tyle wyrządziłem złego!...
O jak ten rozum ludzki jest zawodny!...
(*Podczas ostatnich słów Ezechela drzwi domu otwierają się na wścierzaj — na schodach ukazuje się Szymon (św. Piotr) dobrotliwie uśmiechnięty — lud na jego widok rozstępuje się — tak, że powstaje naprze-*

ciw drzwi wolne przejście. W tym szpalerze pozostaje tylko sam Ezechel. Po krótkiej chwili w drzwiach, w świetle od wnętrza domu ukazuje się postać Chrystusa w białej powłóczystej szacie, w płaszczu szafirowym amarantową materyą podbitym (jak z obrazu „Serce Jezusa"). Płaszcz podtrzymuje lewa ręka, prawa podniesiona jak do błogosławieństwa. Twarz o łagodnym i dobrotliwym wyrazie zwrócona w stronę Ezechela. Za ukazaniem się Chrystusa lud się zwolna pochyla, potem klęka wreszcie głowy zniża. Ezechel tylko stoi a spostrzega Chrystusa po słowach: „o jak ten rozum ludzki jest zawodny". Spostrzegłszy o krok się cofa jakby przerażony, potem krok jeden postępuje naprzód, wznosi obydwie ręce ku Chrystusowi i mówi głosem przez łzy zdławionym).

EZECHEL.

O Panie! Panie!!... Toż i ja niegodny,
Byś do przybytku wstąpił serca mego!!...
(*Ezechel runął do nóg Chrystusa — Chrystus go błogosławi*).

Zasłona opada.

W Konopnicy w marcu 1910.

OMYŁKI DRUKU.

Str. 14	wiersz	19	od	góry	„nie chętnie“	ma być:	„niechętnie“
„ 16	„	1	„	„	„niewzruszona“	„ „	„niewzruszoną“
„ 21	„	29	„	„	„A jam niewinna“	„ „	„I jam niewinna“
„ 24	„	11	„	„	„Mówią“	„ „	„Mówię“
„ 26	„	10	„	„	„Przez tobą“	„ „	„Przed tobą“
„ 27	„	22	„	„	„z dławionym“	„ „	„zdławionym“
„ 34	„	7	„	„	„ogromnych“	„ „	„ogromnym“
„ 54	„	18	„	„	„slę“	„ „	„się“
„ 60	„	1	„	„	„Inaczej choćbyś“	„ „	„Inaczej, — choćbyś“
„ 77	„	24	„	„	„upapając“	„ „	„upadając“
„ 109	„	23	„	„	„Adam“	„ „	„Aron“
„ 115	„	13	„	„	„Przepuście“	„ „	„Przepuśćcie“.